NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Redaktor naczelny TADEUSZ SWIĘCICKI

Prenumerata w Polsce:
miesięczna 2 zł. 75 gr.
kwartalna . 7 „ 50 „
półroczna . 15 „ — „
roczna . . 28 „ — „
Numer pojedyńczy 75 gr.

W Ameryce:
półroczna . 6 dolarów
roczna . . . 12 „
Naczelny redaktor przyjmuje codziennie od g. 10—12 przedpoł. Rękopisy i fotografje redakcja zwraca tylko na żądanie.

Konto P. K O. Warszawa Nr. 140.260
Konto P. K. O. Kraków Nr. 400.519
Konto w Banku Związku Sp. Zarob. Oddział Kraków

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.

Rok XXI. Kraków, 9 sierpnia 1924. Nr. 32.

6/VIII 1914 — 6/VIII 1924



Przed laty dziesięciu.

W rocznicę czynu legionowego. Sztab pierwszego pułku Strzelców z Józefem Piłsudskim na czele przed pałacem gubernatorskim w Kielcach, po zajęciu Kielc przez strzelców. Na fotografji tej z przed lat dziesięciu widzimy: (od prawej do lewej) Boernera (dziś ppułk.) śp. Sulistrowskiego, Litwinowicza (dziś generał) Grabowskiego (dziś major) Dr. Mich. Sokolnickiego, szefa sztabu strzeleckiego Sosnkowskiego (dziś gen. dyw. i b. minister wojny w kilku gabinetach), Fuksiewicza (dziś majora) Komendanta Józefa Piłsudskiego (dziś pierwszy marszałek polski pozostający od roku poza wojskiem) szofera Sawickiego, komendanta kawalerji Belinę-Prażmowskiego (ostatnio pułkownik) Juljana Stachiewicza (dziś generał), Sławka (ppułk. rez.), Horoszkiewicza i Gustawa Daniłowskiego.

W DZIESIĄTĄ ROCZNICĘ

Dziesięć lat temu wyruszyła w pole pod znakami Orła Białego i z hasłem Niepodległej Polski na ustach i w sercu garść szaleńców, romantyków młodzieży. Szli w bój z wiarą w sprawę, z ufnością w swego Komendanta, który posyłał ich po śmierć, albo po sławę i sam im w tej drodze, ileż razy naprawdę ku śmierci wiodącej, przewodniczył.

Dziś dziesiąty rok mija od wyruszenia kadrówki w pole. To co się wówczas ludziom pozytywnym wydawało szaleństwem, romantyzmem i mrzonką — stało się ciałem.

I choć po okresie, gdy Komendant był Naczelnym Wodzem zwycięskim i Naczelnikiem Państwa, przyszedł okres, gdy go pozostawiono na uboczu i gdy nie jeden z żołnierzy kadrówki za to, że do kadrówki należał, otoczony został niechęcią swych zwierzchników i części społeczeństwa — choć różne otaczają ich w Polsce uczucia, — mają największą nagrodę w tym, że Polska jest!

* * *

W rocznicę tych chwil z przed lat dziesięciu podajemy dziś wspomnień kilku — nie tych smętnych, tchnących powiewem zamkniętej już niepowrotnie przeszłości, jakie powstają wśród ludzi, którzy już zamykają kartę swego życia, — ale tych wspomnień bujnych, żywych, radosnych. Wspomnień takich, jakie żyją w duszach ludzi, którzy z jednego okresu wchodzą w drugi okres swego życia otwierający przed nimi nowe zadania i nowych żądający wysiłków. Wspomnień żywych i do nowego życia dających bodziec.

A więc wspomnienie o wyruszeniu pierwszej kompanji kadrowej pióra znakomitego pisarza Wacława Sieroszewskiego, rozkaz Piłsudskiego wydany w drugą rocznicę wyruszenia w pole, i trzy piosenki żołnierskie.

Piosnka pierwszej kompanji kadrowej.

Raduje się serce, raduje się dusza,
Gdy pierwsza Kadrowa na wojenkę rusza!
Oj dana, oj dana kompanio kochana,
Nie masz to jak pierwsza — nie!

Chociaż do Warszawy mamy długą drogę,
Ale przecież dojdziem, byleby iść w nogę.
Oj dana, oj dana...

Gdy Moskal psiawiara drogę nam zastąpi,
To kul z Manlichera nikt mu nie poskąpi.
Oj dana, oj dana...

A gdyby się jeszcze opierał psiajucha,
Każdy z nas bagnetem trafi mu do brzucha.
Oj dana, oj dana...

Kiedy pobijemy po drodze Moskali,
Ładne Warszawianki będziem całowali.
Oj dana, oj dana...

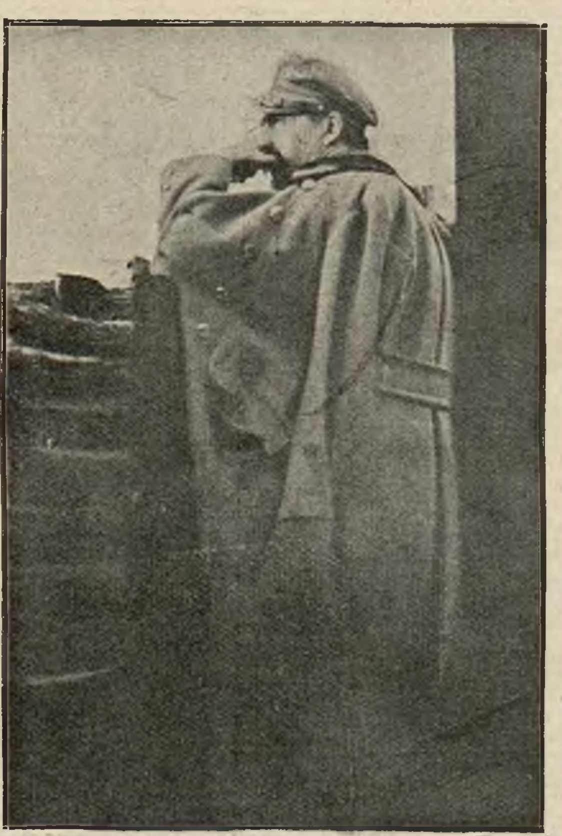
Nie braknie nam nigdy do boju ochoty,
Z naszym Komendatem atakujem płoty...
Oj dana, oj dana...

Możeby nas wcale nie bolały nogi,
Gdyby komendanci nie skracali drogi...
Oj dana, oj dana...

Chociaż w butach dziury i na portkach łaty,
To pierwsza kadrowa pójdzie na armaty.
Oj dana, oj dana...

A gdy się szczęśliwie zakończy powstanie,
To pierwsza kadrowa gwardyją zostanie!
Oj dana, oj dana..

A więc piersi naprzód, podniesiona głowa
Bośmy przecież pierwsza kompania kadrowa.
Oj dana, oj dana...



Komendant na Reducie.

WACŁAW SIEROSZEWSKI.

Jak powstała pierwsza kompanja kadrowa.

...W pierwszych dniach sierpnia doszło do porozumienia się z „Drużynami Strzeleckiemi, które poddały się bez zastrzeżeń, pod dowództwo Piłsudskiego. 3-go sierpnia oficer Burhardt-Bukacki przyprowadził do Oleandrów oddział z 74 Drużyniaków w pełnym rynsztunku. Ze „Strzelców" wybrano taką samą ilość przeważnie Królewiaków. Z magazynów zaczęto wydawać wybranym żołnierzom tornistry, ładownice, mannlichery i po dwieście ostrych naboi. Nastrój gorączkowy i wzniosły dosięgnął szczytu. Po południu zapowiedziano przybycie komendanta. Istotnie około trzeciej wśród ustawionych naprzeciw siebie Strzelców i Drużyniaków, pojawił się Piłsudski w strzeleckiej maciejówce na głowie i ze szpicrutą w ręku; przyjął raport i odbył szczegółowy przegląd żołnierzy, poczem wygłosił krótką, energiczną przemowę tej treści: „Odtąd niema ani Strzelców ani Drużyniaków. Wszyscy, co tu jesteście zebrani, jesteście żołnierzami polskimi. Znoszę wszelkie odznaki specjalnych grup. Jedynym waszym znakiem jest odtąd Orzeł Biały. Dopóki jednak nowy znaczek nie zostanie wam rozdany, rozkazuję, abyście zamienili ze sobą wasze dawne odznaki, jako symbol zupełnej zgody i braterstwa, jakie muszą wśród żołnierzy polskich panować. Niech Strzelcy przypną do czapek blachy Drużyniaków, a oddadzą im swoje orzełki. Wkrótce może pójdziecie na pola bitew, gdzie mam nadzieję, zniknie najlżejszy cień różnicy między między wami".

Po skończonej przemowie oddał swój znaczek naczelnikowi Drużyn, a jego blaszkę przypiął do swojej czapki; wielu z obecnych uczyniło to samo. Wzruszenie było powszechne i ogromne; niedawni przeciwnicy i współzawodnicy ściskali się ze łzami w oczach. Poczem utworzono wspólne szeregi ze wszystkich zebranych w Oleandrach żołnierzy, przemaszerowano kilka razy po placu i znowu zestawiono ich w dwurzędzie z bronią u nogi. Piłsudski chodził przed frontem z głową pochyloną, założywszy jedną rękę za plecy, a drugą za burtę kubraka na piersiach. Zapadał zmierzch; w dali Kraków zabłysnął wieczornymi ogniami. Młode twarze Strzelców bielały równym rzędem, jak wykute z marmuru, nad ścianą wyprostowanych nieruchomo ciał, oczy ich jeno śledziły pilnie za najmniejszym ruchem naczelnika. Wtem tenże podszedł do grupy oficerów, stojących na uboczu i wydał krótki rozkaz. Jeden z oficerów wystąpił z papierem w ręku i wzruszonym głosem zaczął z imienia i nazwiska wywoływać żołnierzy z rozmaitych plutonów. Wychodzili w pełnym rynsztunku z bronią na ramieniu i stawali w osobnym ordynku. Cisza zalegla na całym placu tak głęboka, że słychać było przyspieszone oddechy tych, co czekali na swoją kolej. Ze 113 zapisanych na szkołę podoficerską Strzelców wywołano 98; do nich przyłączyła się równym krokiem cała kolumna Drużyniaków.

— A my?... — ozwały się nieśmiałe głosy w pozostałych szeregach.

— Baczność!...

Umilkły głosy. Jeden z żołnierzy, stary znajomy Piłsudskiego, odważył się nawet podbiedz do niego, ale ten wstrzymał go niecierpliwym ruchem ręki.

— Żołnierze! — zaczął nagle surowym głosem:

„Spotkał was ten zaszczyt niezmierny, że pierwsi pójdziecie do Królestwa i przestąpicie granicę rosyjskiego zaboru. Jako czołowa kolumna wojska polskiego, idąca walczyć za oswobodzenie Ojczyzny. Wszyscy jesteście równi wobec ofiar, jakie ponieść macie. Wszyscy jesteście żołnierzami. Nie naznaczam szarż, każę tylko doświadczeńszym wśród was pełnić funkcje dowódców. Szarże uzyskacie w bitwach. Każdy z was może zostać oficerem, jak również każdy oficer może znów wrócić do stopnia szeregowca, czego oby nie było... Patrzę na was, jako na kadry, z których rozwinąć się ma przyszła armja polska i pozdrawiam was, jako pierwszą kadrową kompanję!..."

Żaden głos nie ozwał się w ciemnych szeregach żołnierzy, ale w zebranej nieopodal publiczności głośno płakano.



Wkroczenie pierwszych odziałów strzeleckich do Kielc.





Na „Reducie Piłsudskiego“ 1) Piłsudski dokonuje inspekcji stanowisk na reducie swego imienia w czerwcu 1916. Za komendantem idzie, dziś nie żyjący już mjr. Fleszar-Satyr i ówczesny komendant VI baonu dziś generał, dr. Marjan Kukiel. 2) Dowódca VI baonu w okresie słynnej bitwy pod Kościuchnówką kpt. Kukiel (dziś generał) ze swoimi oficerami: d-ca 1 komp. por. Rzęcki-Zinth (poległy na Wołyniu w r. 1919), d-ca 3 komp kpt Lis-Kula (poległy pod Torczynem w r. 1919), lekarz dr. Fela, adjutant Baonu por. Boguszewski, d-ca baonu kpt. Kukiel i d-ca 4 komp. por. Wilk-Wyrwiński (poległy w grudniu 1918 r. pod Lwowem).

Wybraną kompanję natychmiast odłączono od innych. Nocowała w osobnej sali. O 3 ciej godzinie rano przyjechał Piłsudski i zrobił próbny alarm. Dzień następny kadrówka spędziła w koszarach, czyniąc gorączkowo ostateczne przygotowania do drogi.

Tegoż dnia wieczorem, gdy żołnierze jeszcze nie pokładli się spać, korzystając z ciepła i cudnego blasku księżycowej nocy, błądzili tłumnie po podwórzu, w bramie ukazał się jakiś rycerz na siwym koniu. Był to Belina - Prażmowski, który wracał z wywiadów z Królestwa i prowadził stamtąd pięć koni, zaczątek naszej przyszłej jazdy, oraz wiadomość, że przez śmiały manewr 7 uzbrojonym strzelcom udało się powstrzymać mobilizację w okolicach Jędrzejowa, wypędzić stamtąd władze rosyjskie i straż pograniczną. W nocy z 4-go na 5-go znowu zaalarmowano kadrówkę, ale i tym razem nie poszła do Królestwa. Wyprowadzono ją na ćwiczenia na błonia.

Dopiero z 5-tego na 6-ty o 3-ej rano wyruszyła kadrówka z Krakowa pod dowództwem porucznika Kasprzyckiego Poprzedzał ją maluchny patrol konnicy z 8 ludzi, z których trzech niosło siodła na sobie, gdyż konie mieli dostać dopiero za granicą. Piłsudski odprowadził oddział za miasto, które okrążono cicho i niepostrzeżenie. Polecono oddziałowi zająć Miechów, ale nikt o tem nie wiedział, prócz dowódcy i gdy po dojściu do szosy za miastem na prawo ku granicy, zwrócono chwilowo na lewo, rozpacz i szemranie wybuchły w szeregach. Okrzyk „baczność!“ stłumił je wszakże natychmiast, a wkrótce potem zwrot ku granicy wrócił w szeregach wesołość. Pod Słomnikami padły pierwsze strzały, nasza konna szpica strzelała do straży pogranicznej, która znowu wróciła. Moskale cofnęli się pośpiesznie, zostawiając jednego zabitego i jednego rannego...

Zaczęła się wojna.

Parę pokoleń minąć musi, zanim stworzy się znowu państwowa kultura polska. Pokolenie dzisiejsze, które zostało powołane do rozstrzygnięcia zawiłych zagadnień współczesnych, nie doroslo do zadań swoich. *J. Piłsudski.*

Pieśń o komendancie.

Jedzie jedzie na kasztance,
Siwy strzelca strój!
Hej, hej, komendancie,
Miły wodzu mój!



Orzeł z gałązek i kory brzozowej na „Reducie Piłsudskiego“ koło Polskiej Góry z r. 1916.

Gdzie szabelka twa ze stali,
Przecież idziem w bój?
Hej, hej komendancie,
Miły wodzu mój! } *bis*

Gdzie twój mundur generalski
Złotem wyszywany?
Hej, hej komendancie,
Wodzu mój kochany!

Masz wierniejszych niż stal chłodna
Młodych strzelców rój...
Hej, hej komendancie,
Miły wodzu mój!

Nad lampasy i czerwienie
Wolisz strzelca strój...
Hej, hej komendancie,
Miły wodzu mój!

Ale pod tą szarą bluzą
Serce ze złota!
Hej, hej komendancie,
Serce ze złota!

Ale błyszczą groźną wolą
Królewskie oczy!
Hej, hej komendancie,
Królewskie oczy!

Pójdziem z Tobą po zwycięstwa
Poprzez krew i znój!
Hej, hej komendancie,
Miły wodzu mój!

...Uderzmy się w piersi. Czy mamy dość wewnętrznej siły? Czy mamy dość tej potęgi duszy, czy mamy dość tej potęgi materjalnej, aby wytrzymać jeszcze te próby, które nas czekają? Przed Polską stoi wielkie pytanie, czy ma być państwem równorzędnem z wielkiemi potęgami świata, czy ma być państwem małem, potrzebującem opieki możnych.

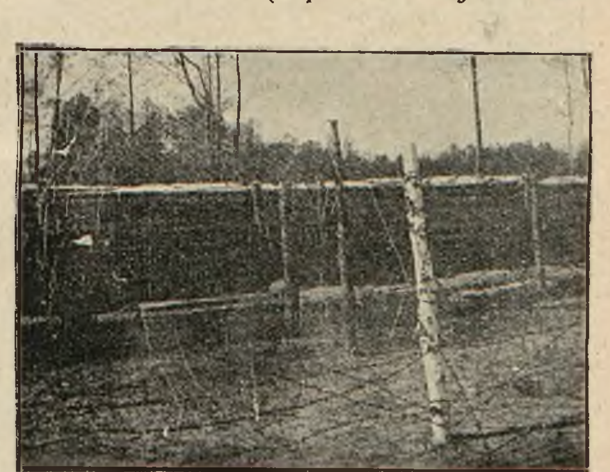
Na to pytanie Polska jeszcze nie odpowiedziała, ten egzamin z sił swoich jeszcze zdać musi. Czeka nas pod tym względem wielki wysiłek, na który my wszyscy, nowoczesne pokolenie, zdobyć się musimy, jeżeli chceme obrócić tak daleko koło historji, aby wielka Rzeczpospolita Polska była największą potęgą, nietylko wojenną, lecz także kulturalną na całym Wschodzie. Wskrzesić ją musimy i tak postawić w sile i mocy, potędze ducha i wielkiej kultury, aby się mogła ostać w tych wielkich, być może przewrotach, które ludzkość czekają.

W pracy tej trzeba umieć być ofiarnym.

(Z przemówień J. Piłsudskiego).







1) Na „Reducie Piłsudskiego“. Komendant szef sztabu brygady Sosnkowski i major (dziś pułkownik) Żymierski badają stan reduty przed oczekiwanym atakiem. 2) Piłsudski w rozmowie z kapt. Scewolą-Wieczorkiewiczem (dziś ppułkownikiem) na pozycji pod Jeziorną. 3) Druty i okopy zbudowane z pni sosnowych na bagnach i piaskach między redutą a Polską Górą.

Wstąp bracie między strzelce.

Wstąp bracie między strzelce,
Gdy chcesz się sławą skryć.
Kompania godna wielce,
Umierać z nią i żyć.
Bo w strzeleckim gronie
Służba to nie żart — o nie!
Bo w strzeleckiem gronie
Służba to nie żart!

Dandysem był w Krakowie, } bis
Podbijał serca w mig, }
Poleżał w mokrym rowie,
I cały szyk gdzieś znikł.
Bo w strzeleckiem gronie
Służba to nie żart — o nie!

Człek mądry był jak rabin,
Na szczyt się wiedzy piął;
Do ręki wziął karabin,
A mądrość djabeł wziął.
Bo w strzeleckiem gronie i t. d.

Kiedy cię serce boli,
Lub duszę kryje mrok,
Zbędzi-sz się melancholii
Ćwiczebny robiąc krok.
Bo w strzeleckiem gronie i t. d.

Każdy porządny strzelec
W bój idzie jak na bal,
Zatańczy Moch wisielec
Gdy padnie rozkaz — Pal!
Bo w strzeleckiem gronie i t. d.

By wynieść z pól zwycięstwo,
Trza naprzód rwać jak chart,
Trzeba mieć w duszy męstwo,
Na ustach śmiech i żart.
Bo w strzeleckiem gronie i t. d.

Więc naprzód — z pieśnią — zuchu!
A smutki jechał sęk,
Ma człek gnić z dziurą w brzuchu,
Lepiej by z śmiechu pękł.
Bo w strzeleckim gronie i t. d.

Bolesław Wieniawa Długoszewski
porucznik I-go dyw. ułanów Beliny.



Piechota w marszu. (Ze zdjęć legjonowych wachm. szwol. Langmana).

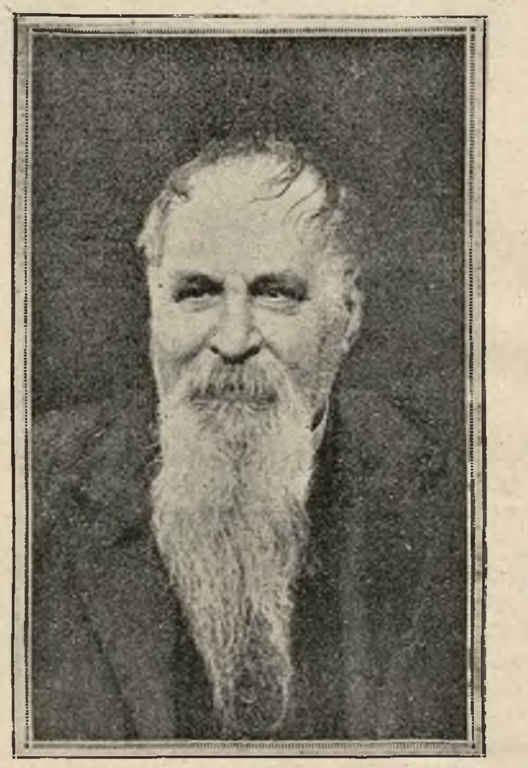
Po dwu pierwszych latach krwi, znojów i sławy.

(Rozkaz Komendanta w drugą rocznicę wyruszenia w pole).

6. sierpnia 1916. Kolonia Dubniak.

Żołnierze!

Dwa lata minęły od pamiętnej naszemu sercu daty — 6. sierpnia 1914. roku, gdy na ziemi polskiej dźwignęliśmy naszemi rękami zapomniany dawno sztandar wojska polskiego, w obronie Ojczyzny stającego do boju. Gdym na czele Waszem szedł w pole, zdawałem sobie jasno sprawę z ogromnych przeszkód, które nam na drodze stają. Gdym wyprowadził Was z murów nieufnego w Wasze siły Krakowa, gdym wchodził z Wami do miast i miasteczek Królestwa,



Generał Ricciotti Garibaldi, syn słynnego bohatera w walkach o wolność Włoch.

widziałem zawsze przed sobą widmo upiorne, powstające z grobów ojców i dziadów — widmo żołnierza bez Ojczyzny.

Czy takimi zostaniemy w historji, czy po nas pozostawimy jedynie
„krótki płacz kobiecy
i długie nocne rodaków rozmowy.
pokaże przyszłość. My obecnie, stojąc w boju, mamy do obrony skarb, któryśmy bezsprzecznie zdobyli. W ciężkich walkach, krwawemi ofiarami żołnierze wszystkich brygad wyrwali nie nawistnym losom to, czegośmy nie mieli jeszcze wychodząc na wojnę — honor żołnierza polskiego, którego bitność i wewnętrzna dyscyplina nie podlega już nigdzie żadnej wątpliwości. Dopóki stoję na Waszem czele będę chronił do upadłego, nie cofając się przed żadną ofiarą, tego co jest naszą własnością i co oddać musimy w całości nienarusz nej naszym następcom, naszego honoru żołnierza polskiego Tego też od Was, żołnierze z całą surowością wymagam. Czy w ogniu na polu bitwy, czy w obcowaniu z otoczeniem, oficer i żołnierz ma się zachowywać tak, by w niczem nie narazić honoru munduru, który nosi, honoru sztandaru, który nas skupia. Ofiary krwawe, czy bezkrwawe, gdy trzeba, muszą być w tym celu złożone. Dwa lata minęły, Losy Ojczyzny naszej ważą się jeszcze! Niech mi wolno będzie Wam i sobie życzyć, by rozkaz mój następny w naszą rocznicę był odczytany wolnemu polskiemu żołnierzowi na wolnej polskiej ziemi.

Rozkaz ten odczytać w kompaniach, szwadronach, baterjach i zakładach oddziału.

J. Piłsudski.

Śmierć gen. Ricciotti Garibaldi'ego.

Są rody spiżowe, rody nad-ludzi, bohaterów, które, wymierając zostawiają po sobie w historji kartę niezatartą. Jednym z takich rodów najbardziej zasłużonych w walce o wolność i najszczytniejsze hasła ludzkości, jest ród, wywodzący się od bohatera i męczennika niepodległości Włoch, Giuseppe Garibaldi'ego.

17 lipca b. r. w Rzymie zmarł syn słynnego wodza wo sk powstańczych, generał Ricciotti Garibaldi, postać symboliczna w braterstwie dwóch romańskich sióstr, Francji i słonecznej Italji.

W czasach dla Francji najcięższych, w r. 1870 wstąpił on ochotniczo do armii francuskiej i dotrwał do końca tragicznej wojny, jako dowódca brygady.

W r. 1914 przechodził ciężkie chwile, nie mogąc z powodu podeszłego wieku wziąć udziału w światowych zapasach. Natomiast czterech jego synów, nie czekając na wypowiedzenie wojny przez Włochy, wstąpiło do armii francuskiej. Dwaj z nich przypłacili śmiercią swe bohaterstwo.

Dziś Włochy całe okryły się żałobą po zgonie bojownika wolności, który wzorem wielkiego ojca swego — wzorem Lafayetta i Kościuszki brał udział w walkach wszystkich tych narodów, które o swą wolność walczyły.

Generał Ricciotti Garibaldi był osobistością we Włoszech ogromnie popularną i cenioną nadzwyczaj. Po jego śmierci wódz faszystów Mussolini, zarządził, by nacjonalistyczne Włochy zamanifestowały gorąco swą żałobę i oddały honory generałowi, który tak wybitną rolę odegrał w historji narodowej.



Generał Ricciotti Garibaldi, wsparty na kulach wygłasza ostatnie swe przed śmiercią przemówienie przemawia do zgromadzonych w rocznicę zajęcia Rzymu przez wojska włoskie.

Monarcha na urlopie.



Wygnany i zdetronizowany król grecki, który jednak nie podpisał zrzeczenia się tronu, przebywa na tułaczce. Tułaczka ta nie jest jednak zbyt przykrą, gdyż po dłuższym pobycie na zamku królewskim w Rumunji, b. suweren przybył obecnie do Anglji i zwiedza wystawę w Wembley.



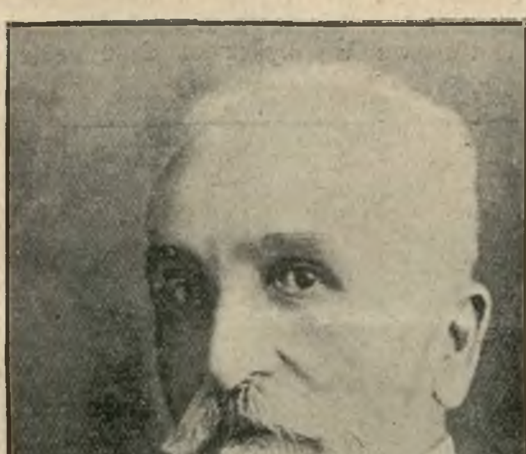
B. następca tronu saskiego wstąpił do zakonu. Najstarszy syn zdetronizowanego króla saskiego b. następca tronu, poświęcił się stanowi duchownemu, otrzymał święcenia i przed kilku dniami złożył śluby zakonne, wstępując do klasztoru. Na ilustracji naszej widzimy nowego zakonnika, ze świecą w dłoni, podążającego do kościoła za biskupem Miśni, przed którym ma złożyć uroczyste śluby.



Opieka nad inwalidami w Ameryce. Prezydent Stanów Zjednoczonych Coolidge wraz z małżonką zwiedził z okazji święta narodowego Ameryki szpital i zakład inwalidów i tam na miejscu podpisał dekret o utworzeniu Sanatorjum dla inwalidów mogącego pomieścić kilkaset ofiar wojny. Na sam oddział ociemniałych dekret ten przeznaczył 500.000 dolarów.



Jubileusz kapłański kanclerza Seipla. Ks. prałat Seipel, od 3 lat kanclerz Republiki Austrjackiej bezpośrednio po odzyskaniu zdrowia po zamachu, obchodził 25 letni jubileusz swego kapłaństwa. Na fotografji widzimy prezydenta ministrów jako kapłana odprawiającego mszę w dzień swego jubileuszu.



Nowy premier Jugosławji. Wskutek obalenia przez opozycję, którą wzmocnili posłowie chorwaccy, gabinetu „radykałów" Pasicza, utworzył się nowy rząd demokratów z p. Jowanowiczem na czele. Rząd ten może się utrzymać tylko wtedy, jeżeli zerwie z dotychczasowym systemem centralizmu.



Zmiana rządu w Grecji: Pierwszy gabinet Grecji republikańskiej p. Papanastaziu, otrzymawszy w parlamencie votum nieufności, zmuszony był ustąpić. Na ilustracji widzimy premjera wraz z kolegami po wręczeniu dymisji. Potomkowie Drakona i Peryklesa, nie bacząc na przykład swych starożytnych przodków, zapatrzyli się raczej na nasz system parlamentarny i rządy zmieniają co chwila, jak rękawiczki. Jest to zresztą cechą charakterystyczną ustroju parlamentarnego współczesnych państw, że rząd może istnieć trwale jedynie przy stałej większości parlamentarnej. Jednak o taką jest niezmiernie trudno w tych czasach zaciekłości partyjnej.

Argentyna.

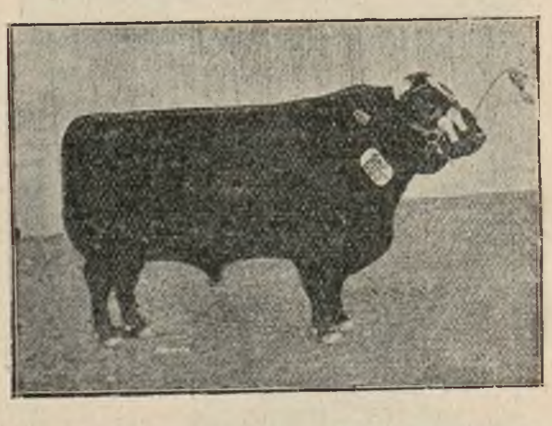
(Kraj ubogi w historję, a bogaty w przyszłość.)

Przed kilku miesiącami otwarty został w Krakowie konsulat Rzeczypospolitej Argentyńskiej, na którego czele stanął pan Don Edmund Lagos. Dzięki sumienności, z jaką pan Lagos pojmuje swoje zadania i dzięki ujmującym zaletom swojej natury, zdołał on w krótkim czasie wejść w kontakt ze wszystkimi niemal interesantami, wchodzącymi w zakres jego tutejszej działalności, której cele zakreślił sobie szeroko, przekraczając przynajmniej intencjami ceremonialne ramy biurowych czynności.

Ten pierwszy konsul argentyński na ziemi krakowskiej, a zarazem jeden z dwuch tylko przedstawicieli konsularnych Argentyny w Polsce, zjechał do nas ożywiony wiarą, że między krajem, który ma reprezentować, a krajem w którym przyjdzie mu żyć, da się nawiązać nietylko złota arterja eksportowo-importowa lecz także różnobarwne wstęgi wzajemnych zainteresowań.

Przy zupełnym braku u nas wiadomości o Ameryce Południowej, Argentyna, która po Stanach Zjednoczonych jest niewątpliwie najpoważniejszą siłą polityczną kontynentu amerykańskiego, zasługuje na większe zainteresowanie niż to jakiem darzyliśmy ją dotąd.

Jest to kraj dziewiczy jeszcze, szukający swojej drogi, ubogi w historję, a bogaty w przyszłość. Młoda jego historja, która rozpoczęła się mniej więcej sto lat temu wyzwoleniem się z pod panowania hiszpańskiego (r. 1840), pozwala mu żyć pełnią dnia dzisiejszego i nadzieją świetnego jutra.



Wspaniały okaz bydła argentyńskiego.

Niezmierzone perspektywy rozciągają się przed tym krajem, który pod względem obszaru równa się sumie terytorjalnej Anglji, Francji, Hiszpanji, Portugalji, Belgji, Holandji, Danji, Niemiec, Polski, Czechosłowacji i Włoch, a zamieszkiwany jest tylko przez 9.600.000 mieszkańców! Argentyna będzie mogła przyjąć jeszcze wiele miljonów przybyszów z korzyścią dla swojego rozwoju, który postępuje naprzód z szybkością zawrotną, mnożąc z roku na rok liczbę mieszkańców i bogactwo kraju.

Przy swem rzadkiem zaludnieniu Argentyna opiera swoją przyszłość na rosnącej stale ilości rąk. Immigrantom czyni się wszystkie możliwe



Konsul argentyński, p. Don Edmundo Lagos.

ułatwienia. Wstęp Konstytucji argentyńskiej, określający ogólnego ducha ustaw narodowych, zawiera jedno zdanie, które zdumiewa europejczyka swoją treścią. Zdanie to orzeka, że Konstytucja ma zapewnić jak najłatwiejsze życie



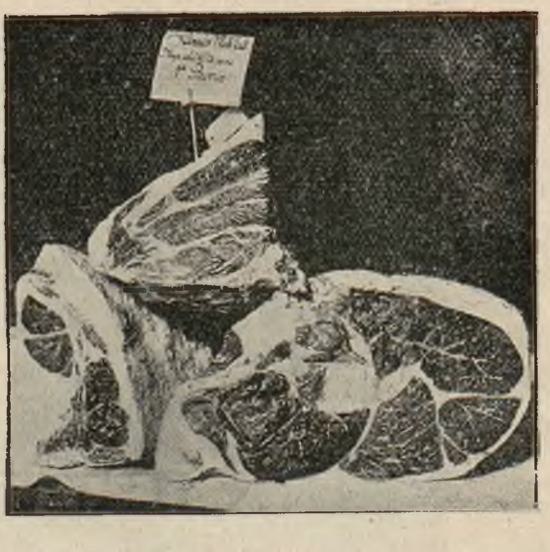
Śpiewak ludowy w wieśniaczym stroju argentyńskim.

wszystkim cudzoziemcom którzy chcieliby pracować na ziemi argentyńskiej. I istotnie cudzoziemiec jest w tej liberalnej republice obywatelem uprzywilejowanym w stosunku do tubylca; posiada więcej praw, a mniej obowiązków.

Ale główną pokusą cudzoziemskich immigrantów, wśród których przeważają Włosi i Hiszpanie, jest taniość i urodzajność ziemi. Rozległość nieuprawionych obszarów, będących własnością państwa, pozwala na odstępowanie pewnych terenów nawet za darmo o ile nabywca zgodzi się pracować na nabytej ziemi zgodnie z przepisami krajowymi.

Ziemia argentyńska na przestrzeniach nietknięta jeszcze ani siekierą ani lemieszem, jest skarbnicą egzotycznych piękności, i północni jankiesi zjeżdżają często na półkulę południową, ażeby podziwiać uroki pierwotnej przyrody argentyńskiej. Miejscowość Llao-Llao słynna ze swoich czar dziejskich tajemnic, zanurzonych w lasach tropikalnych wśród gigantycznych drzew i gęstych Ljan. Rozległa tafla jeziora Nahuel-Huapi, ujęta w ramę egzotycznej roślinności, wabi bogactwem widoków. Wodospad w Iguazu, nad którym unoszą się chmury rozpylonej wody, widzialne z daleka, wodospad od którego uderzeń drży ziemia, a którego huk słychać w promieniu 30 km, nie ma wielu rywali na świecie. Z dumą powiad ją Argentyńczycy, że Bóg musiał być Argentyńczykiem, skoro ziemię argentyńską napełnił tylu pięknościami.

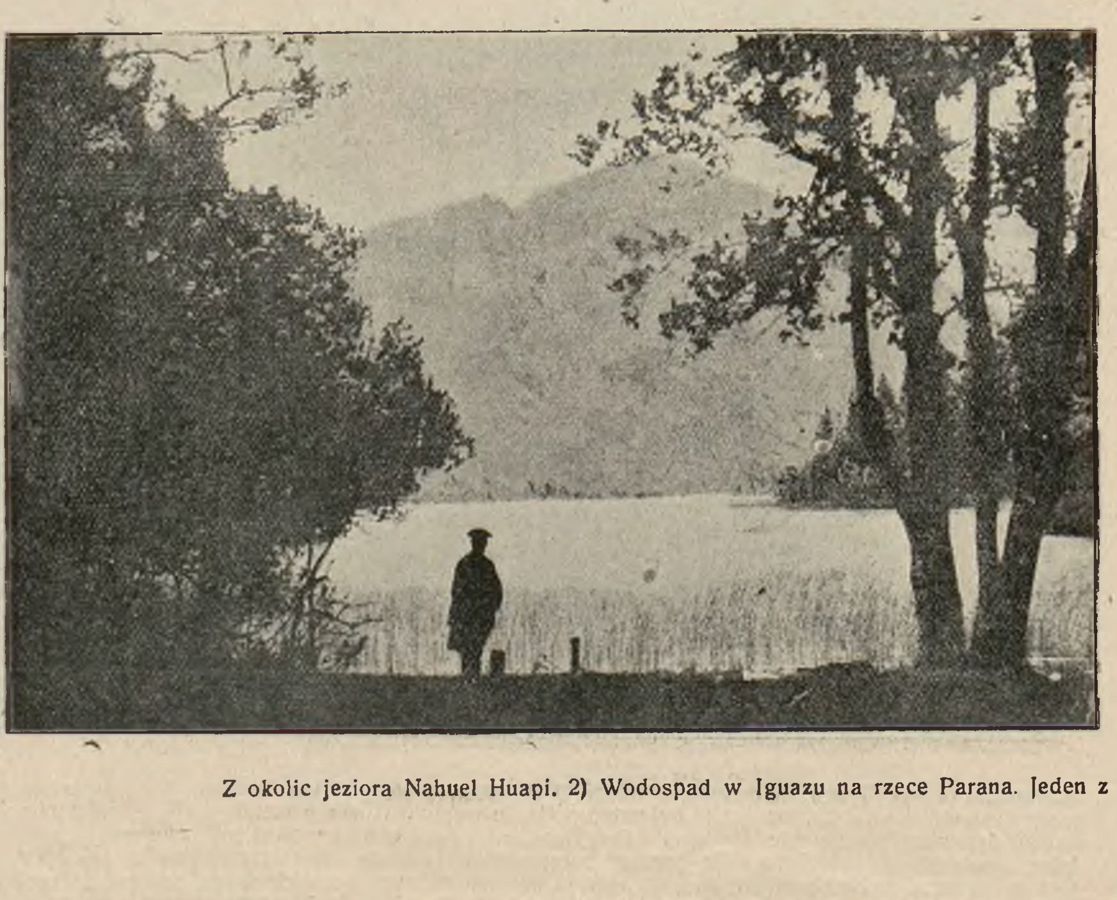
Jest to ziemia piękna i urodzajna równocześnie. Produkuje cerealia wszelkiego rodzaju, a olbrzymie zapasy zboża umożliwi ją jej wywóz tego artykułu nawet do Europy. W dziedzinie hodowli bydła racjonalne metody pozwoliły Argentynie osiągnąć pierwszorzędne rezultaty. Okazy uwidocznione na naszych ilustracjach, przewyższają wymową swoją wszystko co mogłyby powiedzieć obszerne opisy i szczegółowe daty statystyczne.

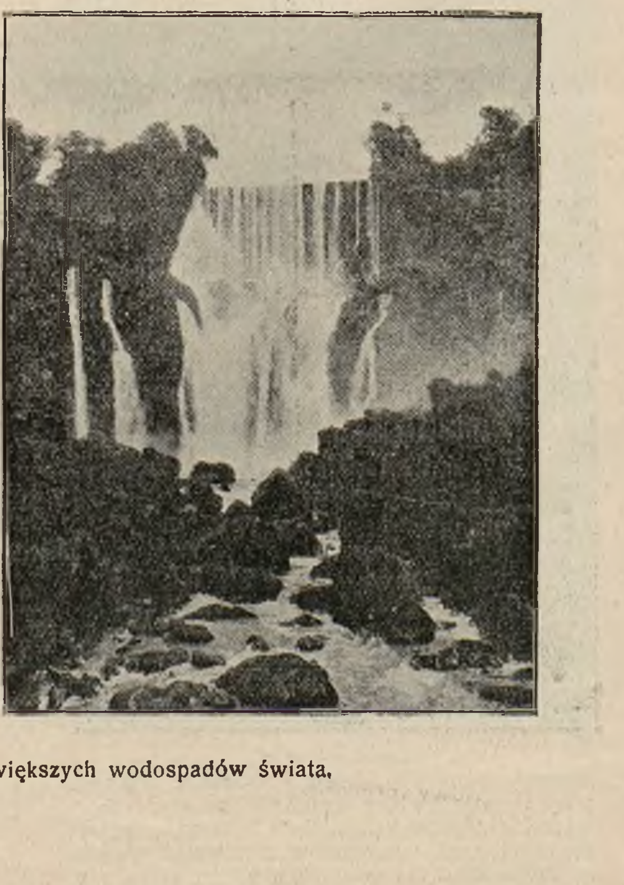


Mięso argentyńskie; Porcja wołowiny, nagrodzona medalem na wystawie „Bloc Test".

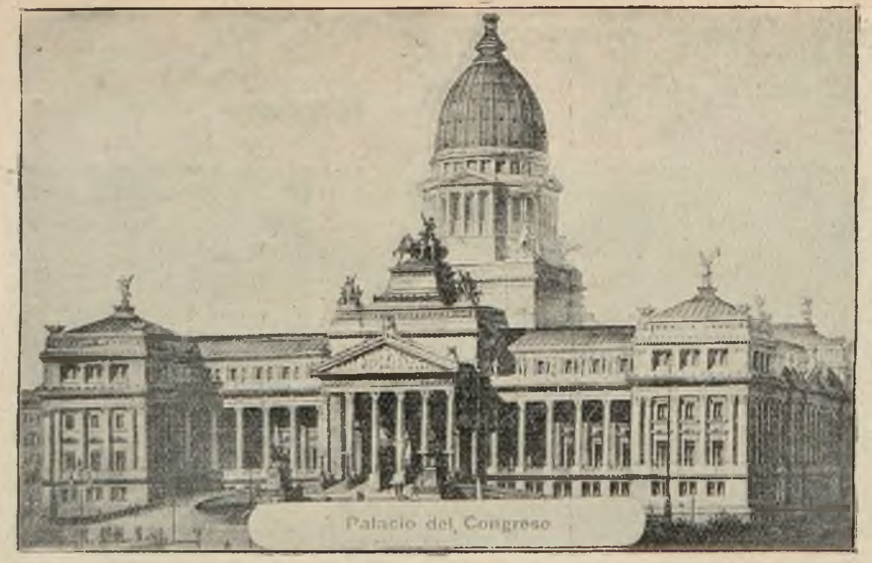
Nikogo nie zdziwi, że te sprzyjające warunki uczyniły z Argentyny przedmiot westchnień dla wszystkich tych, których kusiło złoto, a nie odstręczała praca. Ci pokorni słudzy pieniądza przynosili nowej ojczyźnie to czego najbardziej było potrzeba: ręce. I temi rękoma, przybyłemi z za morza, robiło się bogactwo kraju. Z roku na rok powiększały się fale niewolników złota, z roku na rok rosły energje zbiorowe, z roku na rok powiększało się bogactwo kraju.

Dzisiaj jest już Argentyna krajem zadowolonym z siebie. Wyniosła duma kołysze się na każdem słowie Argentyńczyka. Czuć że ten na-

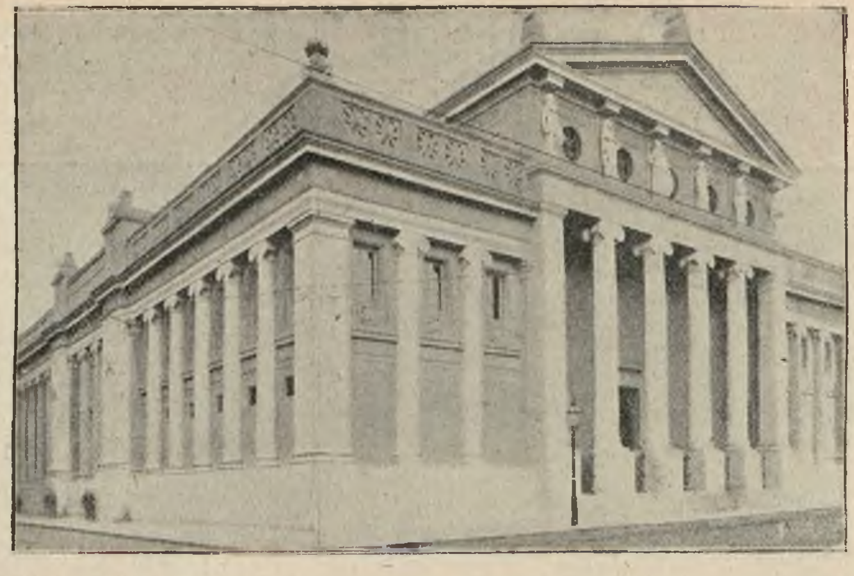




Z okolic jeziora Nahuel Huapi. 2) Wodospad w Iguazu na rzece Parana. Jeden z największych wodospadów świata.



Parlament w Buenos Aires.



Państwowa szkoła elementarna w Buenos Aires.

ród wierzy w potęgę swoich sił i skuteczność wszystkich swoich zamysłów. Jeśli stolica każdego kraju, jest jego kamienną metryką, to Buenos Aires ze swemi okazałemi ulicami, gmachami monumentalnymi i jasnem gorącem powietrzem, na którem unoszą się radosne tony tanga argentyńskiego, wskazuje na narodziny tego miasta z ducha pracy, pieniądza i tańca.

Ale mimo wszystko Argentyna znajduje się jeszcze daleko od tej drogi na której postawi ją dłoń jutra. Rozrost jej potencji kryje w sobie nieprzewidziane możliwości. Takie miasto jak Buenos Aires, które w r. 1904 ma 900.000 mieszkańców, w r. 1909 – 1 200 000, w r. 1914 – 1.500.000, w r. 1923 – 2.000.000, jest miastem o perspektywach, które dzisiaj wcale nie dają się ogarnąć.



Messyna zniszczona przez pożar. Urocze miasto włoskie nad brzegiem morza śródziemnego, Messyna, która przed wojną w r. 1910 padła ofiarą straszliwego trzęsienia ziemi, znów została nawiedzona przez klęskę. W drewnianym budynku szkoły S-go Marcina wybuchnął pożar, który przerzucany przez wicher objął całą dzielnicę. Spłonęło około 200 domów, a kilka tysięcy ludzi zostało bez dachu nad głową. — Ilustracja nasza przedstawia ogólny widok Messyny

Od Redakcji.

W numerze niniejszym, poświęconym rocznicy sierpniowej zamieszczamy szereg zdjęć, które zostały nam udzielone uprzejmie przez dawnych uczestników walk legionowych i pochodzą prawie wyłącznie ze zbiorów prywatnych. Szczególnie zdjęcia z okresu bitwy pod Polską Górą, z Reduty Piłsudskiego i z VI baonu są prawie nieznane i nie były dotychczas nigdzie reprodukowane.

* * *

W numerze następnym rozpoczynamy już druk zapowiedzianej, fantastycznej i senzacyjnej powieści Kazimierza Andrzeja Czyżowskiego p. t.

„SZEŚĆ GODZIN"

która zachwyci napewno czytelników naszych subtelnem, pełnem tajemniczości i grozy rozwiniętym problemu zbrodni i problemu prawdy życia. Pozatem od następnego numeru wobec licznych żądań naszych czytelników przywracamy w „Nowościach" dział szarad, zagadek i logogryfów. Dział ten wraz z działem szachowym i działem grafologicznym ukazywać się będzie stale.

Zmierzch gondol w Wenecji.





Piękna, poetyczna przejażdżka po mrocznych kanałach Wenecji ulega też modernizacji. Miast gondol, dzisiejsza publiczność woli mniej wprawdzie nastrojowe, lecz zato szybsze i sprawniejsze motorówki; toteż gondoljerzy skarżą się na coraz to mniejszą frekwencję gości. Ilustracja nasza przedstawia: 1) przystanek gondoljerów oraz 2) gondolę, płynącą na „Canale Grande".

O modach i miłości, czyli flirt z panną Nellą.

(Informacje o modzie).



Najmodniejsze w linjach suknie firmy Wortha.

Informacji fachowych, rysunków i zdięć udziela nam z grzeczności salon mód „Maison Riette" w Krakowie.

W tym rozdziale mowa jest tylko o rękawiczkach, pantofelkach i głębokich filozoficznych refleksjach, które nasuwają się naszemu feljotoniście.

Przez cały tydzień chodziłem rozmarzony i wniebowzięty. Koledzy z redakcji zaczęli mi się uważnie przygladać, kiwając do siebie porozumiewawczo głowami; wreszcie pewnego dnia z wyżyn redaktorskiego biurka doszedł mię głos, pełen ubolewania:

— Panie Diaz-Biwar, pan mi się coraz bardziej nie podoba; pański dział mody zawiódł zupełnie oczekiwania, a cała współpraca pańska jest chaotyczna i brak w niej myśli przewodniej... chciał coś jeszcze mówić, poczciwiec, ja jednak, wciąż słodkich marzeń pełen, słyszałem tylko czcze słowa, zaś myśl moja bujała swobodna i beztroska w sferze koronek, wstążeczek, jedwabnych pończoszek, pajęczych haftów, tiulów, muślinów, sferze, która zmienia szare, nudne miasto w rajski ogród, pełen wdzięku i powabu. Nie bacząc na ironiczne uśmieszki kolegów i jowiszowe spojrzenia redaktora, zdjąłem z wieszadeł kapelusz, ruchem somnambulika otworzyłem klamkę . . . .

— Wiecie! Diaz Biwar kocha się — usłyszałem na odchodnem.

Miłość! Czy to jest miłość? Zadawałem sobie to ogólnie rozpowszechnione pytanie, stare jak świat i jak świat wciąż nowe — Och nie! Przecież nie kocham się w małej Nelli, która jest tylko kapłanką bogini — moje uczucie miało w sobie coś z wielkiego misterjum, coś z kultu pogańskich bogów. Tak! wiem! Czczę, kocham, ubóstwiam wielką, nieogarnioną *modę*, zmienną jak kameleon, igrającą barwami tęczy, jak bańka mydlana, nieprzeniknętą w myśli boginię, której służebnic jest tyle, ile pięknych pań na świecie, której świątynie na każdej wznoszą się ulicy, a której widoczne symbole — *wystawy* salonów mód promieniują w życie codzienne blaskami, czerpanymi z raju . . . .

. . . .

— Och! zaraz, panie, muszę pozawieszać te płaszczyki — powiedziała mi na przywitanie zarumieniona i zdyszana Nella. Okazało się, że dopiero teraz ocknąłem się z całotygodniowej apatji i jasno odrazu oceniłem sytuację.

— Ale może pani przeszkadzam?

— Ależ bynajmniej, już zaraz kończę, niech pan usiądzie tylko spokojnie tu, przy stoliku. Posłuszny i uważny, usiadłem, obserwując, jak płaszczyki fruwały z wieszadeł do szafek, wzniecając miły, chłodzący wiaterek, przepojony wonią subtelnej perfumy.

— Panno Nelli, mnie się zdaje jednak, że nie w porę przyszedłem — zauważyłem ponownie.

— Och! jaki pan nudny! — Cichutko zamknęły się drzwi szafy i obok mnie siadło milutkie stworzonko, robiąc minkę filuterną i zarazem pełną skupienia.

— Mój panie — powiedziała odważnie — zanim przejdziemy do szczegułów sukien, musimy zacząć od podstawy — od bucików i pantofelków.



Elegancki kostjum spacerowy.



Ile razy dziennie zmienia strój modna Amerykanka? Minimalnie pięć: na ilustracji widzimy strój kąpielowy, spacerowy, popołudniowy, wieczorowy i toaletę balową.

Więc zasadniczo: *fason*. Mimo ciągłych zakusów na zdeformowanie dotychczasowej linji nóżki, pantofelki są nadal spiczaste i to bardzo; natomiast muszę zwrócić pańską uwagę na materjał; to bardzo ważna rzecz! My nie możemy nosić zwykłego tandetnego materjału!

— Naturalnie! — zawołałem — nóżki pań powinny być ubrane w coś równie idealnego, jak one same!

— Toteż ulubionym materjałem jest cieniutka skórka, rodzaj gemzy, z której robi się tak miłe, wygodne i lekkie sandałki, przytem kolor musi harmonizować z barwą sukni, lub kapelusza, mogą być przytem przybrane jak najfantastyczniej, różnokolorową skórkę i t. d.

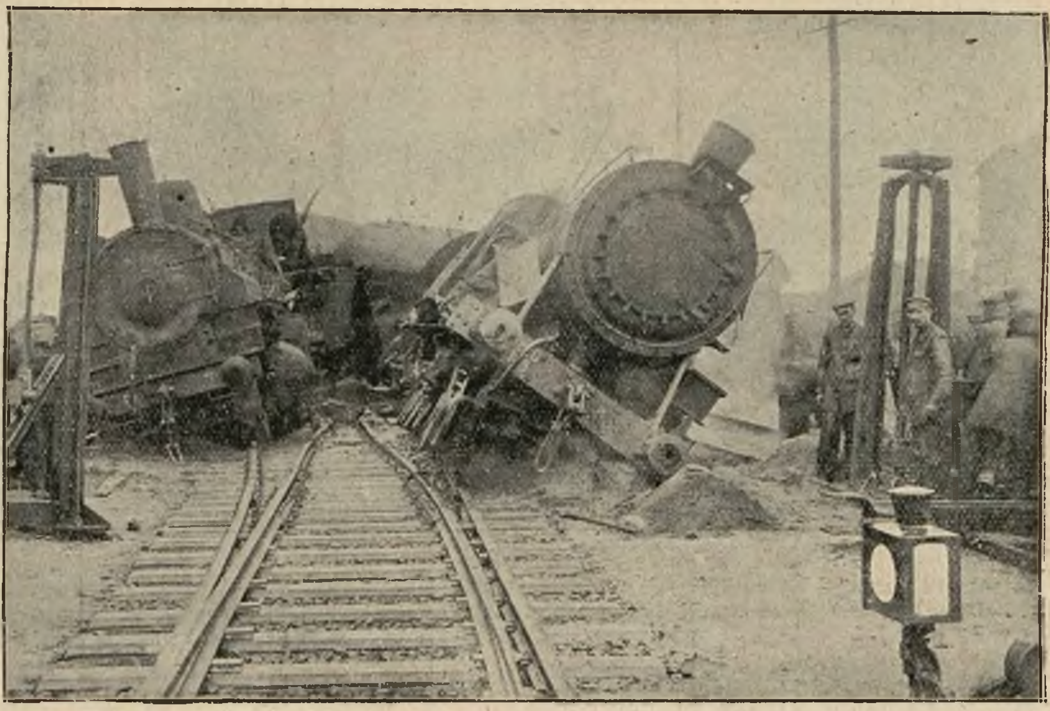
W ostatnich czasach wchodzą coraz więcej w użycie pantofelki z jedwabiu matowego, aplikowane skórą; nosi się je do lekkich, powiewnych sukien.

Do kostjumu spacerowego, lub sportowego eleganckie panie noszą półbuciki z grubszej skórki na niziutkich, płaskich obcasach.

— Niech pani sobie nie przerywa — rzekłem — notuję wszystko bardzo skrzętnie.

— Wieczorem, do toalet, żadna szanująca się elegantka nie ubierze nic innego, jak tylko czarne, gładkie, jedwabne sandałki z brylantową klamrą, które naprawdę dopiero wyłaniają wdzięk zgrabnej kobiecej nóżki Można nosić też pantofelki jedwabne matowe, okryte złotem. Mniejwięcej już skończyliśmy o nóżkach.

— Co? — krzyknąłem, zrywając się z krzesełka — a pończoszki! a...



Wielka katastrofa kolejowa w Warszawie: lokomotywy, wyrzucone z szyn w kwadrans po zderzeniu. 38 osób zostało rannych w tej katastrofie.



Ze sportu: Drużyna Semmering bawiła w ubiegłych dniach we Lwowie i rozegrała dwukrotnie zwycięski match z „Pogonią". Illustracja nasza przedstawia grupkę sympatycznych gości.

— O! mój pani! pończoszki omówimy przy opisywaniu sukien i kostjumów. Moda to nie jest łatwa rzecz; jaką barwę pończoszek dobrać do sukni, to jest zagadnienie, nad którem panie łamią sobie główki godzinami

— Więc, panno Nelli, mówmy o łapkach, ślicznych, malutkich mikroskopijnych, białych łapkach, ozdobionych kwiatami lśniących różowych długich paznogci Czy moda wywiera również wpływ na te niesforne, zawsze ciekawe rączki?

Roześmiała się.

— No, na rączki chyba nie, (choć i *manicure* podlega bezwarunkowo wpływom mody), ale na rękawiczki — naturalnie! Przecież rękawiczka musi być harmonijnem zakończeniem ramienia, a nic nie jest tak zmienne, jak rękawiczek.

Otóż przykład Niedawno jeszcze nosiło się rękawiczki z długiemi, szerokiemi, kloszowymi mankietami; dziś już ani śladu z nich nie pozostało. Poprostu uznane były za zbyt ekstrawagancyjne; Teraz nosi się rękawiczki znacznie skromniejsze, z cienkiej, matowej skórki, jasne, champagne, beige, noisette; dozwolony jest tylko mały mankiecik, wyłożony i trochę zahaftowany, najelegantsze są jednak białe, z lamówką w kolorze sukni Przemknęły również, jak zły sen, rękawiczki do auta z dużemi, mało subtelnymi manszetami. Teraz nosi się tylko długie duńskie rękawiczki z żółtej skóry.

Moda, jak kobieta, niestała jest i zmienia swe upodobania zależnie od chwilowego nastroju.

— Dobrze, panno Nelli, ale przecież jest jakaś stała wytyczna, która..

— Aha! Więc naogół idzie o wysubtelnienie przedramienia — zauważyłem. Widzę, że moda ma jednak swój program...

Roześmiała się, ukazując białe ząbki — Ach! pani! To strasznie śmieszne, co pan mówi;

— Mój pani! proszę tylko nie dochodzić do głębszych wniosków, bo to nie prowadzi do niczego, o!! naprzykład! — weźmy pod uwagę sezon, który mija — gdybyśmy chciały dążyć konsekwentnie w linji przezeń narzuconej, doszlibyśmy do absurdu — do stroju Ewy, a cóż wtedy robiłyby salony mód?

Tymczasem wprost przeciwnie — moda staje się coraz bardziej skromna. Zupełnie, jak wyrafinowana kokietka, która używa wszystkich sztuczek, nawet pozornie nie wiodących do celu, by podbić serca męskie. Zresztą na końcu palnęłam głupstwo. Mężczyźni nie poszczycą się nigdy tem, by moda nagięła się do ich upodobań. To jest sztuka dla sztuki, panie Diaz-Biwar!

Skłoniłem się bardzo nisko i wyszedłem, unosząc w kieszeni bezcenne dla mnie informacje.

Och! patrzcie! jaka pewna siebie ta mała!

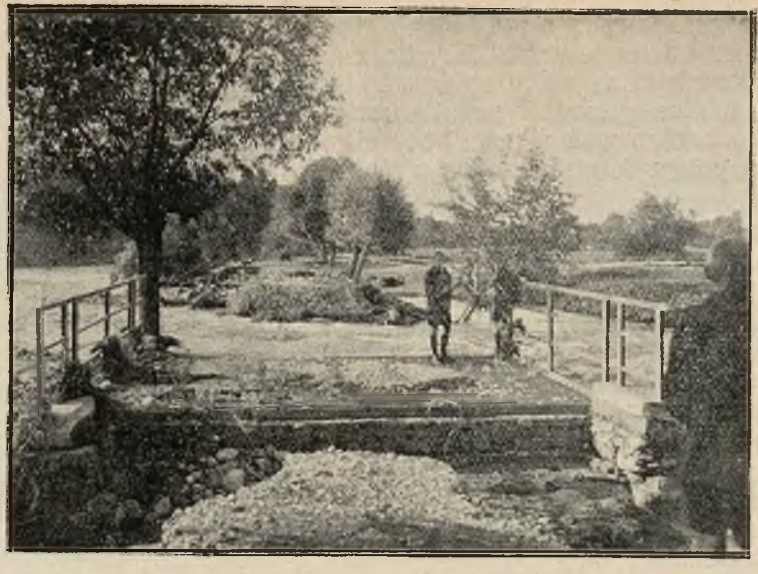
(Ciąg dalszy nastąpi).

Wielka katastrofa kolejowa w Warszawie.

5-go bm. na stacji kolejowej Warszawa! uległy zderzeniu pociąg osobowy, idący z Siedlec z lokomotywą manewrującą. Skutki zderzenia były straszne; Obydwa parowozy uległy zupełnemu zdruzgotaniu zaś wagony pociągu osobowego spiętrzyły się na tender i, szczególniej przednie, zmieniły się momentalnie w stos rumowiska. Winę ponosi zwrotniczy, oraz po części maszynista manewrującego parowozu.

W ostatnich czasach katastrofy kolejowe stają się tak częste, że władze kolejowe powinny nareszcie wziąć na odwagę i ukrócić lekkomyślność, czy niedbalstwo odnośnych czynników. W ostatnich czasach jazda koleją grozi większem niebezpieczeństwem, niż jazda aeroplanem. Kolej państwowa, biorąca tak wygórowane sumy za bilety musi dać za to gwarancję bezpiecznej i wygodnej jazdy.





Katastrofa powodzi na podhalu: 1) W Białym Dunajcu pod Zakopanem. Dunajec zerwał most i szosę, płynąc nowym korytem. Most ten łączył Szaflary z Białym Dunajcem. 2) Na trzeci dzień po powodzi. Dunajec utworzył nowe koryto za Zakopanem, tak że most jest na wysepce, otoczonej wodą. W dali widać kawałek zerwanej szosy. Auta i ekwipaże muszą jechać do Zakopanego drogą okrężną.

Zjazd Wielkopolskich Straży Pożarnych w Poznaniu.

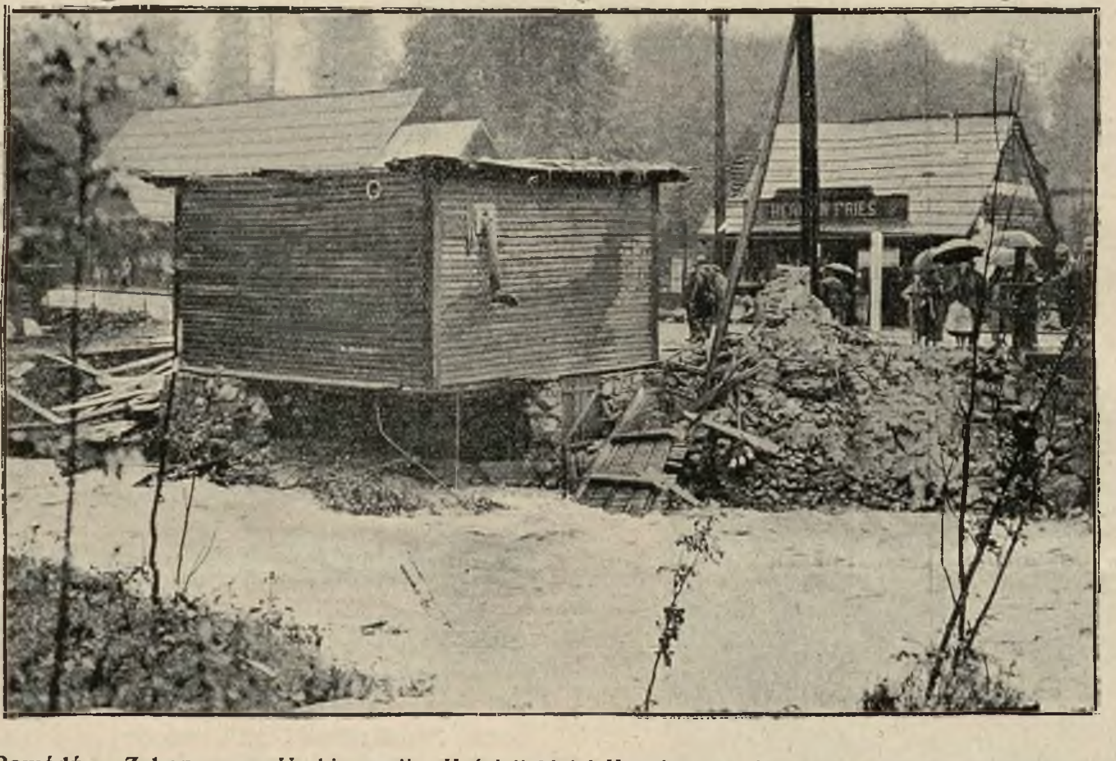
Dnia 20-go. lipca 1924 r. odbył się w Poznaniu I. Ogólny Zjazd Wielkopolskich Straży Pożarnych od czasu odzyskania niepodległości i złączenia dzielnicy Wielkopolskiej z Macierzą. W sobotę dnia 19-go lipca wieczorem zjechały się liczne drużyny strażactwa Wielkopolskiego i delegaci straży z całej Polski. O godzinie 20-tej odbył się w „Ogrodzie Zoologicznym" koncert i wspólne zebranie uczestników Zjazdu.

W niedzielę o godzinie 6-tej rano odbyły się na boisku „Sokoła" pod komendą wojewódzkiego inspektora pożarnictwa p. K. Górniaka próby ćwiczeń. O godzinie 8·45 wyruszył z boiska przy dźwiękach dwuch orkiestr pochód do kościoła farnego na nabożeństwo odprawione przez ks. kanonika dr. Zwolskiego, który do zgromadzonych drużyn podniosłą od stopni ołtarza wygłosił przemowę.

Po nabożeństwie udano się pochodem ulicami miasta do suli „Ogrodu Zoologicznego" na uroczyste posiedzenie. Po drodze pochód przedefilował koło Zamku przed przedstawicielami Władz i starszyzną strażacką. Posiedzenie zagaił prezes Wielkopolskiego Związku Straży Pożarnych poseł p. K. Rzepecki zapraszając do prezydium p. p. Cpomicza prezesa Głównego Związku Straży Pożarnych z Warszawy jako marszałka, a na zastępców Obidowicza naczelnika Miejskiej Straży Pożarnej z Krakowa i Tomczyńskiego prezesa Pomorskiego Związku Straży Pożarnej z Łasina.

Następnie wygłoszone zostały referaty p. t. „Organizacja pożarnictwa w Województwie Poznańskim" przez wiceprezesa Wielkop. Związku Straży Pożarnych dyr. p. Fr. Baranowskiego i o rozwoju pażarnictwa w Polsce przez nacz. Głów. Związku Straży Pożarnych p. B. Pachelskiego.

Posiedzenie zakończono trzykrotnym okrzykiem na cześć Najjaśniejszej Rzeczp. i p. Prezydenta, oraz wysłano do p. Prezydenta Wojciechowskiego telegram z wyrazami czci i hołdu O godzinie 14-tej dokonano przed „Teatrem Wielkim" wspólnej fotografji.



Powódź w Zakopanem: U zbiegu ulic Kościeliskiej i Krupówek zniszczona doszczętnie herbaciarnia i zdemolowany transformator elektryczny.

O godzinie 15-tej, rozpoczęły się na boisku „Sokoła" publiczne ćwiczenia wolne toporami w 4-ch obrazach i ćwiczenia konkursowe o nagrody. Ogólna liczba uczestników Zjazdu wynosiła 700 członków Straży Wielkopolskich i 55 delegatów straży z całej Polski. do ćwiczeń wolnych toporkami stanęło 420, do zawodów konkursowych 20 drużyn strażackich z miast Wielkopolskich.

Zjazd wypadł nadzwyczaj imponująco i wykazał w całej pełni tężyznę, karność i poczucie obowiązków strażactwa Wielkopolskiego.



Zjazd Wielkopolskich Straży pożarnych w Poznaniu. Uczestnicy Zjazdu z p. gen. Raszewskim prezesem Rzepeckim, insp. Górniakiem, p. Chomiczem (Warszawa) Obidowiczem (Kraków) na czele.

H. G. WELS.

„GWIAZDA"

Z CYKLU „TALES OF SPACE AND TIME".

(Tłómaczył Bronisław Falk).

Było to pierwszego dnia nowego roku, gdy doniesiono, równocześnie prawie z trzech obserwatorjów, że bieg planety Neptuna, najodleglejszej z planet koło słońca krążących, stał się ogromnie nieregularnym. Już w grudniu zwracał uwagę Ogilvy na podejrzane zwolnienie jego szybkości. Wieści te ledwie wzbudziły zainteresowanie mieszkańców świata, których większa część nie wiedziała o istnieniu planety Neptuna, równie jak nie wywołało wrażenia, poza kołami zajmującemi się astronomją, następne odkrycie słabej, dalekiej plamki świetlnej, w okolicy planety, która uległa perturbacji. Ludzie fachowi przyjęli jednak wiadomość dosyć poważnie wpierw jeszcze nim rozeszła się wieść, że nowoodkryte ciało niebieskie rośnie gwałtownie i staje się coraz jaśniejszem, że jego bieg pod każdym względem wyróżnia się od zwyczajnego, postępowego biegu planet i że zboczenia w ruchach Neptuna i satelity jego przybrały teraz formę nigdy nie widzianą.

Zaledwie mała garstka ludzi nie fachowych zdaje sobie sprawę z odosobnienia słonecznego systemu. Słońce wraz z swojemi plamkami gwiazd, pyłem planetoid i nieuchwytnemi kometami, unosi się w bezmiernej próżni, której objęcie myślą staje się prawie niemożliwem. Poza orbitą Nep una rozciąga się przestrzeń próżna, jak daleko ludzki sięga wzrok, zimna, ciemna, milcząca, czarna pustka, na dwadzieścia milj nów razy po miljonie mil. Jest to najskromniejsze obliczenie odległości, którą trzeba przebyć, aby dotrzeć do najbliższej z gwiazd. I za wyjątkiem kilku komet, więcej nieuchwytnych, niż najlżejszy płomień, żadne ciało za ludzkiej pamięci nie przebyło tej przepaści przestrzennej, aż do zjawienia się dziwnego tego wędrowca, w pierwszych latach dwudziestego stulecia. Było to ciało o masie niepomiernej, olbrzymie, ciężkie, pędzące bez ostrzeżenia z tajemniczych ciemni niebieskich w obręb słonecznego światła.

Drugiego dnia dostrzedz je było można przez szkła średniej dobroci, jako plamkę o ledwie określonej średnicy, w konstelacji Lwa, koło Regulusa. W krótkim czasie dostępne już było i dla lornetki teatralnej.

Trzeciego dnia roku nowego zwrócono raz pierwszy uwagę czytelników gazet obu półkul na prawdziwe znaczenie niezwykłego niebieskiego zjawiska.

„Zderzenie się planet" — tak zatytułował jeden z londyńskich dzienników artykuł, przytaczający zapatrywania Duchaisne'a, co do prawdopodobnej kolizji niezwykłego, nowego planety z Neptunem. Najpoważniejsi pisarze rozwodzili się nad tym przedmiotem. Dlatego też, trzeciego stycznia, w przeważnej części stolic świata oczekiwano, chociaż z pewnem niedowierzaniem, jakiegoś wydarzenia na niebie.

A kiedy na ziemi zapadła noc, tysiące ludzi zwróciło oczy ku niebu, aby przyglądnąć się starym, dobrze znanym gwiazdom, świecącym jak dawniej.

Aż wreszcie w Londynie zaczął się dzień, Polux zeszedł i gwiazdy w górze pobladły. Był to zimowy brzask, stopniowe przedzieranie się słabego światła dziennego; w oknach błyszczały żółtawe światła świec i lamp gazowych, wskazując, gdzie krzątali się ludzie.

Patrzał w niebo ziewający policjant, gapiły się tłumy zebrane na targu; wyrobnicy zdążający wczesnym rankiem do pracy, mleczarze, dorożkarze, wesołe towarzystwo, powracające do domu zmęczone i blade, bezdomne włóczęgi, żołnierze na posterunku, a po wsiach, robotnicy ciągnący w pole, skradający się do domu złodzieje, kłusownicy leśni, — równie jak tam na morzu, wyczekujący dnia żeglarze — widzieć mogli ponad budzącą się do życia okolicą ten punkt świecący, wielką, białą gwiazdę, na zachodzie niebios.

Była jaśniejszą niż którakolwiek z gwiazd na naszem niebie; jaśniejsza od gwiazdy wieczornej w jej pełnym blasku. Stawała się coraz bielsza i coraz większa, była już nie iskrzącą się plamką świetlną, lecz małym, jasno świecącym krążkiem, w godzinę po rozpoczęciu się dnia. Tam, gdzie nie sięgała wiedza, stawali ludzie w przerażeniu, opowiadając sobie o wojnach i zarazach, które przepowiadały podobne ogniste znaki na niebie.

Odważni Burowie, ciemni Hotentoci, Murzyni Złotego Wybrzeża, Francuzi, Hiszpanie, Portugalczycy, w ciepłych promieniach wschodzącego słońca stali, czekając zejścia tej dziwnej, nowej gwiazdy. W stu obserwatorjach znać było tłumione podniecenie, które doszło do szczytu, gdy dwa dalekie ciała niebieskie zderzyły się z sobą; noc całą trwała bieganina za aparatami fotograficznymi i spektroskopem i nastawianie ich, celem upamiętnienia tego niebywałego, zadziwiającego widoku — zniszczenia świata. Gdyż był to odrębny świat, ta siostrzyca naszej ziemskiej planety, wiele większa od ziemi naszej w każdym razie, która w płomieniach tak gwałtowną zginęła śmiercią. Obca planeta z nieznanych przestrzeni wpadła wprost na Neptuna, a ciepło, przy uderzeniu wytworzone, zmieniło bez litości oba globy w olbrzymią, rozpaloną do białości masę.

Dokoła ziemi, na dwie godziny przed brzaskiem dnia, przesuwała się biała, wielka, jasna gwiazda, blednąc jedynie przy swoim zachodzie, kiedy zjawiło się słońce. Wszyscy ludzie zdumiewali się nad jej pięknością, lecz z pomiędzy nich zdumiewali się najwięcej żeglarze, którzy daleko na morzu nie słyszeli nic o jej przybyciu i widzieli ją teraz wschodzącą, jak mały księżyc, posuwającą się do zenitu, wiszącą nad głowami i iskrzącą na zachodzie wraz z nocą.

A kiedy w Europie znowu zapadła noc, wschodu wielkiej, nowej gwiazdy wypatrywały tłumy ciekawych, na wzgórzach, dachach i miejscach otwartych. Wzeszła otoczona białą smugą, oślepiając blaskiem swym jak rozpalony do białości metal, a na ten widok ludzie, obecni przy zjawieniu się jej nocy ubiegłej, nie mogli powstrzymać okrzyku: „Jest większa" — wołali. — „Jest jaśniejsza!". W istocie, księżyc w pełni, na zachodzie niknący, wielkością swą nie nadawał się do porównania, lecz mimo rozmiarów ledwie posiadał taką siłę świetlną, jak ów mały krążek nieznanej, nowej gwiazdy.

„Jest jaśniejszą!" — wołali ludzie, zbijając się na ulicy w gromadki. W ciemnych obserwatorjach badacze wstrzymywali oddech i spoglądali na siebie. „Jest bliższą" — mówili. — „Bliższą".

Głos za głosem powtarzał: „Jest bliższą" — a słowa te podchwycił tykający telegraf; przebiegały one po drutach telefonu i w setkach miast układali je do druku zecerzy. „Jest bliższą". Urzędnicy biurowi, uprzytamniając sobie dziwną nowinę, opuszczali bióra, ludzie rozmawiający w najrozmaitszych miejscach zastanawiali się nagle nad groteskową zagadkowością tych słów: „Jest bliższą". Słowa owe przebiegały wzdłuż ulic budzących się ze snu, wywoływane były na pokrytych śniegiem drogach spokojnych miasteczek; ludzie, którzy czytali je wprost z depeszy, stojąc na progu, w żółtym świetle lamp, podawali wiadomość przechodniom: „Jest bliższą". Piękne kobiety, zarumienione i rozpromienione, słuchały wiadomości, przytaczanej jako żart wśród tańca i udawały głębokie zainteresowanie, któ rego nie czuły. „Bliższa?" Czy być może? Jak bardzo, bardzo uczeni muszą być ludzie, którzy podobne wykrywają rzeczy!".

Samotni podróżni, jadący wśród nocy zimowej, szeptali te słowa na własną pociechę, z oczyma zwróconemi ku niebu. „Mogłaby być jeszcze bliższą, gdyż noce są piekielne zimne. Bądź co bądź, jeśli nawet jest bliższą, nie obdarza nas wielką ilością ciepła".

„Na co mi nowe gwiazdy?!" — wołała płacząca kobieta, klęcząc obok zmarłego swego męża.

Uczeń, wstający rano do przedegzaminowej roboty, łamał sobie głowę nad wielką, białą gwiazdą, świecącą silnie i jasno przez obmarzłe szyby okien. „S ła odśrodkowa, dośrodkowa..." — mówił podpierając brodę rękoma. „Co będzie jeśli zatrzyma w biegu jakąś planetę, jeśli pozbawi ją siły odśrodkowej? Ta spadnie na słońce, mocą swej dośrodkowej siły, a to...".

„Czy staniemy jej na drodze?... Dziwię się"...

Dzień minął jak zwyczajnie, a w późnych godzinach mroźnego wieczoru obca gwiazda pojawiła się znowu. Była już teraz tak jasną, że wielki księżyc, unoszący się na zachodzie, wyglądał przy niej jak blade, żółte widmo własne.

W jednem z miast południowej Afryki jakiś wielki mąż obchodził zaślubiny i na cześć młodej pary ulice były oświetlone. „Nawet w niebiosach iluminują" — mówił pochlebca. Pod zwrotnikiem, para kochanków Murzynów, drwiąc sobie z dzikich zwierząt i duchów złych, w wzajemnym uścisku miłosnym, tuliła się do siebie w gęstwinie trzcin, między któremi przelatywały świetliki. „To nasza gwiazda" — szeptali i czuli dziwne zadowolenie, że gwiazda ta świeci tak jasno.

Profesor matematyki siedział w prywatnem swojem mieszkaniu i przeglądał papiery. Ukończył już obliczenia. W małej, białej fiolce została tylko reszta narkotyku, który utrzymywał go w czujności i pracy cztery długie noce. Każdego dnia, z zwyczajnym spokojem, jasnością i cierpliwością wykładał swoim studentom, a potem powracał do swych znamiennych obliczeń. Twarz jego była poważna, nieco znużona i dzięki sztucznemu podnieceniu wyglądająca chorobliwie. Czas pewien zdawał się być pogrążonym w rozmyślaniach. Potem podszedł do okna i z hałasem podniósł żaluzje. W połowie niebieskiej drogi, ponad powodzią domów, kominów i wież miasta, świeciła gwiazda.

Patrzał na nią, jak patrzy się w oczy wroga, którego dzielność jest znana. — „Możesz mnie zabić" — powiedział po chwili milczenia. — „Lecz ja mogę opanować cię — i cały świat w taki sam sposób — potęgą mego skromnego mózgu. I nie pragnąłbym zamiany. Nawet teraz". Popatrzył na małą fiolkę. „Spać będziemy do syta" — rzekł.

Dnia następnego, w południe, punktualnie co do minuty, wszedł na salę wykładową, złożył kapelusz według zwyczaju na brzegu stołu i troskliwie wybrał wielki kawałek kredy. Studenci mówili żartem, że nie może wykładać nie trzymając w palcach kawałka kredy i wprowadzili go raz w zakłopotanie, ukrywszy ten pomoc niosący przedmiot.

Przyszedł, popatrzał z pod szarych brwi na piętrzące się szeregi młodzieńczych, świeżych twarzy i za
ął mówić, układając zdania zwyczajnym, wystudiowanym sposobem.

„Zaszły okoliczności, okoliczności nieprzewidziane przezemnie — rzekł i zatrzymał się — które nie dadzą mi ukończyć zamierzonego kursu Zdaje się, panowie, że człowiek żył nadaremnie".

Studenci spojrzeli po sobie. Czy ich nie zawiódł słuch? Brwi marszczyły się i krzywiły usta, lecz jedna, czy dwie pary oczu zwróciły się z uwagą na jego spokojną, okoloną siwym zarostem twarz.

„Będzie interesującą rzeczą — mówił — poświęcić ranek ten na wyjaśnienie, możliwie dla panów dostępne, obliczeń, które doprowadziły mnie do tego wniosku. Spróbujmy!".

Zwrócił się do tablicy, zastanawiając się nad diagramem w sposób sobie właściwy. „Co to ma znaczyć, że człowiek żył nadaremnie? — szeptał jeden z studentów do drugiego. „Słuchaj!" — rzekł mu ten, pochylając się z uwagą ku profesorowi.

I teraz zaczynali rozumieć.

Nocy tej gwiazda zeszła jeszcze większa, gdyż samorodny pęd jej ku wschodowi przesunął ją poprzez konstelację Lwa ku Pannie, a świeciła tak mocno, że po jej wschodzie niebiosa stały się jasno błękitne i wszystkie gwiazdy w biegu swym pobladły, za wyjątkiem Jowisza w pobliżu Zenitu, Capelli, Aldebarana, Syrjusza i gwiazd Niedźwiedzicy.

Była bardzo jasna i piękna. W wielu okolicach świata pojawiła się tej nocy w bladej aureoli. Zwiększyła się widocznie. Na czystem, odbijającem światło niebie krain podzwrotnikowych zdawała się wielkością dorównywać czwartej części księżyca. Na ziemiach Anglji spoczywał jeszcze śnieg, lecz ziemia oświeconą była tak jasno, jakby w letnią, księżycową noc. Można było prawie czytać normalny druk przy tem zimnem, jasnem świetle, a światło lamp po miastach zdawało się przy niem mdłem i żółtem. Gdzieniegdzie nocy tej czuwali ludzie, a wokół kościołów po wsiach, w mroźnem powietrzu, słychać było złowrogi szmer, podobny do brzęczenia pszczół w barci, szmer nieokreślony, który w miastach przeradzał się w głośny hałas.

Na wieżach i dzwonnicach setek tysięcy miast biły dzwony, wzywając lud do wyrzeczenia się grzechów i zbierania się po kościołach na modlitwę. A ponad ziemią wirującą normalnym trybem i w cienie nocy spowitą, coraz większa i coraz jaśniejsza, wschodziła oślepiająca gwiazda. Ulice i domy oświetlone były we wszystkich miastach, w pełnem świetle stały

okrętowe doki i wszystkie drogi na wyżyny wiodące, a przepełnione tłumami całą długą noc. A wszędzie na morzach otaczających kraje cywilizowane, okręty z ogniem pod kotłami i okręty z żaglami rozwiniętymi, przepełnione ludźmi i zwierzętami, gotowały się do drogi na północ i na pełne morze. Gdyż ostrzeżenie profesora matematyki przetelegrafowano już po całym świecie i przetłomaczono na setki języków. Neptun i nowa planeta, złączone w ognistym uścisku, pędziły niepowstrzymanie ku słońcu, wciąż prędzej i prędzej. Już teraz ta rozżarzona do białości masa leciała z szybkością stu mil na sekundę, a straszny jej pęd wzrastał z każdą następną sekundą. Gdyby leciała dalej z t-ką szybkością, musiałaby minąć ziemię w odległości stu miljonów mil i ledwie dać się jej we znaki. Lecz w pobl żu wytkniętej dla niej drogi, która zaledwo nieznacznej uległa zmianie, odbywał swój obrót około słońca potężny planeta Jowisz wraz z należącymi do niego księżycami. Z każdą chwilą rosła siła przyciągania między ognistą gwiazdą i największą z planet. A wynik tej siły przyciągającej? Jest rzeczą prawdopodobnie nie do uniknięcia, że orbita Jowisza przekształci się w elipsowatą krzywiznę, a płonąca gwiazda, ściągnięta siłą jego daleko z swej drogi ku słońcu, zakreśli łuk i być może spotka się z naszą ziemią, a w każdym razie minie ją w nieznacznej odległości. „Trzęsienia ziemi, wybuchy wulkanów, cyklony, burze morskie, powodzie i gwałtowne podniesienie się temperatury do granicy bliżej nie określonej" — to przepowiedział profesor matematyki. A nad głowami, jakby na potwierdzenie tych słów, samotna, zimna, trupia gwiazda świeciła oślepiająco!

Wielu ludziom, przyglądającym się jej tej nocy aż do zmęczenia wydała się wyraźnie bliższą. I nocy tej nastała zmiana pogody a śnieg, pokrywający całą środkową Europę, Francję i Anglję, zaczął topnieć.

Nie trzeba jednak sądzić, jakkolwiek wspominałem o ludziach modlących się po nocy, ludziach uciekających na okrętach i ludziach chroniących się w góry, że cały świat z powodu gwiazdy ogarnęła panika. Faktycznie, żądza użycia i wyzysku wciąż jeszcze kierowała świa tem i za wyjątkiem rozmów w chwilach wolnych i w czasie jasnej nocy, dziewięć osób na dziesięć, zajmowało się zwyczajnemi zajęciami. We wszystkich miastach, za małymi wyjątkami, sklepy otwierano i zamykano w czasie normalnym, lekarze i urzędnicy sprawowali swoje funkcje, robotnicy zbierali się w fabrykach, żołnierze odbywali ćwiczenia, uczniowie dążyli do szkoły, kochankowie szukali się wzajemnie, złodzieje kryli się i uciekali, politycy układali swe plany.

Maszyny gazeciarskie huczały po nocach, a wielu z księży nie chciało otwierać pustych świątyń na dłużej, aby nie wywoływać nieuzasadnionej paniki. Gazety zwracały uwagę na przykład z 1000. roku, kiedy to ludzie przepowiadali koniec świata. Gwiazda nie była właściwie gwiazdą, raczej gazem, kometą; a choćby nawet gwiazdą była, zderzenie się jej z ziemią jest niemożebnością. Nic podobnego nie przytrafiło się nigdy. Publiczność była wszędzie dobrej myśli, żartobliwa, lekceważąca, skłonna do wystąpienia wrogiego przeciw bezsensownej trwodze.

Nocy tej, o siódmej, minut piętnaście, według obserwatorjum w Greenwich, gwiazda znaleźć się miała najbliżej Jowisza. Okazać się miało, jaki obrót wezmą sprawy świata. Złowrogie ostrzeżenie profesora matematyki traktowało wielu, poprostu, jak wypracowanie oparte na własnych przypuszczeniach. Ostatecznie, publiczność, rozgorączkowana argumentacją, okazała niezmienne swoje przekonania, kładąc się do łóżka. Dzicy i barbarzyńcy, również znużeni nowością tego zjawiska zajęli się swemi nocnemi sprawami, a świat zwierzęcy, za wyjątkiem psów, wyjących tu i ówdzie, o gwiazdę nie troszczył się zgoła. Gdy wreszcie obserwatorowie w europejskich krajach ujrzeli wschodzącą gwiazdę, w godzinę później, to prawda, lecz nie większą niż nocy ubiegłej, zaczęto podrwiwać z profesora matematyki i jego urojonego niebezpieczeństwa, jakby ono już minęło. Lecz wkrótce potem śmiać się przestano. Gwiazda rosła — rosła z przerażającą szybkością, godzina po godzinie — z każdą godziną trochę większa, trochę bliższa zenitu i jaśniejsza, coraz jaśniejsza, aż zamieniła noc w drugi dzień. Gdyby zmierzała ku ziemi wprost a nie łukiem, gdyby nie straciła nic na szybkości dzięki Jowiszowi, przebyłaby dzielącą ją od naszej planety przestrzeń w jednym dniu, tak jednak potrzebowała na odbycie drogi tej dni pięciu.

Nocy następnej wielkością dorównała trzeciej części księżyca, nim stracono ją w Anglji z oczu i nastała zupełnie odwilż. W Ameryce zeszła wielkością równa prawie księżycowi, lecz oślepiająco biała i gorąca; ze wschodem jej i w miarę zwiększania się ciągłego, zaczął teraz dać wiatr gorący, a w Wirginji, w Brazylji i w Dolinie Świętego Wawrzyńca świeciła nieprzerwanie w czasie burzy piorunów, fioletowych błyskawic i niebywałego gradu. W Manitobie przyszło do odwilży i groźnych wylewów. Na wszystkich górach ziemi zaczął tej nocy topnieć śnieg i lód, wszystkie rzeki w wysokich górach poczętek swój biorące toczyły mętne i wezbrane fale, a później — w dolnym biegu — wyrwane z korzeniami drzewa, ciała ludzi i zwierząt. Wody wzbierały gwałtownie w tem trupiem świetle, aż wreszcie wystąpiły z brzegów i rzuciły się za ludnością, uciekającą z ich dolin. Wzdłuż wybrzeży Argentyny i na południowym Atlantyku wznosiły się fale do wysokości nieznanej w ludzkiej pamięci a burze pędziły wody, w wielu wypadkach, na mile w głąb lądu, zatapiając całe miasta. Rozpoczęły się trzęsienia ziemi i trwały w całej Ameryce, od okolic podbiegunowych do przylądka Horna, usuwały się góry, otwierały rozpadliny, a domy i mury rozpadały się w gruzy. Całe zbocze Cotopaxis usunęło się w potężnem wstrząśnieniem i potok lawy wypłynął, tak głęboki i szeroki, tak szybki i rączy, że dosięgnął morza w ciągu jednego dnia.

Tak posuwała się gwiazda ponad Oceanem Spokojnym, pod strażą świecącego mdłym światłem księżyca, wiodąc za sobą burze i grzmoty na podobieństwo trenu u sukni, a piętrzące się fale morskie, które szły za nią, spienione i groźne, zalewały wyspę po wyspie i porywały ludzi. Za falami temi nadbiegła w końcu, w szybkim i strasznym biegu, w oślepiającem świetle, jakby wylewająca się z fabrycznego pieca masa, ściana wodna, na pięćdziesiąt stóp wysoka, rycząc z żądzy łupu i padła na szerokie wybrzeża Azji, wdzierając się wewnątrz kraju poprzez równiny Chin. Czas pewien gwiazda, gorętsza teraz, większa i jaśniejsza niż słońce w pełni swego blasku, ukazywała w bezlitosnem świetle obszerne i spustoszone okolice; miasta i wioski z ich pagodami i drzewami, dalekie uprawne pola, tysiące ludzi pozbawionych snu i w bezbrzeżnej trwodze patrzących w jasno oświetlone niebo; a potem nadbiegły z hałasem fale, szumiąc i piętrząc się. I był to los miljonów ludzi w ciągu owej nocy — ucieczka w niewiadomym kierunku, gdy nogi ciężyły jak ołów wskutek upału a oddech stawał się krótkim i nieregularnym, a poza nimi biała ściana posuwającej się w szybkim pędzie powodzi. A potem śmierć.

Chiny oświecone były jaskrawem, białem światłem, lecz nad Japonją, Jawą i wszystkiemi wyspami Azji wschodniej, wielka gwiazda świeciła jak kula ognista, ciemno czerwonej barwy, wskutek dymu, obłoków i popiołu, który wyrzucały wulkany, jakby witając jej ukazanie się. W górze była lawa, gazy gorące i popiół, w dole gotująca się woda, a cała ziemia kołysała się i drżała w gwałtownych wstrząśnieniach.

Później stopniały odwieczne śniegi Tybetu i Himalajów i spłynęły w dół, żłobiąc dziesięć miljonów, połączonych między sobą kanałów na równinach Birmy i Hindostanu. W tysiącach miejsc zapaliły się, splątane konarami, wierzchołki drzew puszczy indyjskich, a w dole czarne pnie, otoczone niepowstrzymanie pędzącemi wodami, broniły się jeszcze słabo i odbijały na tle czerwonych, jak krew, języków ognia. Tłumy mężczyzn i kobiet, w bezgranicznem przerażeniu uciekały w dół szerokich rzek, ku tej ostatniej ludzkiej nadziei — otwartemu morzu.

Gwiazda rosła teraz z przerażającą szybkością, coraz to większa, gorętsza i jaśniejsza. Ocean podzwrotnikowy utracił zdolność fosforencji a tumany pary unosiły się w niesamowitych kłębach z pośród czarnych fal, rozbijanych przez miotane burzą okręty.

A potem stał się cud. Tym, którzy w Europie na wschód gwiazdy czekali, zdawało się, iż ziemia musiała się przestać obracać. W tysiącach miejsc otwartych, na równinach i płaszczyźnie, czekali daremnie na zjawienie się gwiazdy ludzie, którzy uciekli tu przed powodzią, walącymi się domami i obsuwającymi się skałami. Godzina mijała za godziną w strasznej niepewności, a gwiazda nie wschodziła. Raz jeszcze wznieśli ludzie swe oczy ku starym konstelacjom, które już uważali za stracone. W Anglji panował upał i niebo było czyste, chociaż ziemia trzęsła się ustawicznie, lecz pod równikiem Syryusz, Capella i Aldebaran ukazały się w mgle pary. Kiedy nareszcie wielka gwiazda zjawiła się prawie dziesięć godzin później, tuż za nią wzeszło słońce, ukazując w centrum swej białej tarczy czarny krąg.

Ponad Azją gwiazda zaczęła posuwać się ku dołowi niebios, a potem, kiedy zjawiła się nad Indjami, światło jej nagle uległo przyćmieniu. Cała równina indyska, od ujścia Indusu do ujścia Gangesu, była tej nocy jedną wielką przestrzenią lśniących wód, ponad które wznosiły sie świątynie i pałace, góry i pagórki, czarne od tłumów ludu. Każdy minaret był masztem rojącym się od ludzi, którzy spadali jeden za drugim w mętne wody, ubezwładnieni gorącem i strachem. Cała ziemia była jedną skargą, kiedy w tym morzu rozpaczy błysnęła nagle nadzieja, wionął zimny wiatr i w chłodnem powietrzu zgromadziły się chmury. Ludzie wpół oślepieni, spoglądając w górę ku gwieździe, widzieli przesuwający się przez jej jasną tarczę czarny krąg. Był to księżyc, wchodzący między gwiazdę i ziemię. Lecz ledwie ludzie mieli czas podziękować Bogu za tę ulgę, wydobyło się na wschodzie, z dziwną, niewytłómacz ną szybkością, słońce. A potem gwiazda, słońce i księżyc ruszyły razem przez niebo.

Obserwatorowie w Europie widzieli obecnie słońce i gwiazdę, ws hodzące tuż obok siebie, wznoszące się do góry zrazu szybko, potem łagodniej, aż wreszcie gwiazda i słońce zlały się z sobą w ognistą kulę świetlną u zenitu niebios. Księżyc nie rzucał już cienia na gwiazdę, lecz zniknął na jaskrawo oświetlonem niebie. I chociaż ludzie, pozostali przy życiu, przyglądali się temu głównie z głuchą obojętnością, wywołaną głodem, znużeniem, gorącem i rozpaczą, byli jednak tacy, którzy rozumieli znaczenie tego zjawiska. Gwiazda i ziemia zbliżały się do siebie najbardziej, zakołysały i gwiazda przeszła. Oddalała się coraz to szybciej, w ostatnim stadjum swej zawrotnej podróży w dół, ku słońcu. Potem zgromadziły się chmury, zakrywając niebieską wizję, a grzmoty i błyskawice otoczyły ziemię jakby siecią; na całą ziemię spadł deszcz, nieznany w ludzkiej pamięci, a tam, gdzie wulkany zionęły ogniem ku chmurom, tworzącym nieprzerwaną zasłonę, spadły potoki szlamu. Wody spłynęły z wszystkich lądów, pozostawiając zamulone gruzy i ziemię zasłaną, jak przystań przez burzę nawiedzona, przyniesionymi przez fale przedmiotami i ciałami dzieci jej, zmarłych ludzi i zwierząt. Dnie całe woda ustępowała z lądów unosząc z sobą najrozmaitsze przedmioty, drzewa i domy, drogę jej zagradzające, tworząc namuliska i żłobiąc olbrzymie wyrwy po polach.

Takimi były te dnie ciemności, która nastała po zniknięciu gwiazdy i gorąca. Trzęsienia ziemi trwały jednak jeszcze długie tygodnie i miesiące. Lecz gwiazda przeszła a ludzie zgłodniali i powoli dopiero nabierający odwagi, mogli się dowlec do swych miast zrujnowanych, spalonych spichrzy i pól zniszczonych warem. Ta garstka okrętów, która ocalała wśród burz dni przebytych, wróciła uszkodzona i okaleczona, ostrożnie szukając sobie drogi przez nowe mielizny i głębiny niegdyś znanych dobrze portów. A kiedy minęły burze, spostrzegli ludzie, że dni były gorętsze niż przedtem, słońce większe, a księżyc zredukowany do trzeciej części dawnej wielkości, potrzebował do odbycia swych przemian dni ośmdziesiąt. O nowem braterstwie, które teraz ludzi złączyło, o ocaleniu praw, książek, maszyn, o dziwnej zmianie, jakiej uległa Islandja, Grenlandja i wybrzeża zatoki Baffina, które przybywający tam obecnie żeglarze ku nadzwyczajnemu swojemu zdumieniu, znajdowali pokryte zachwycającą oczy zielenią, opowiadać nie będę. Również i o posuwaniu się ludzi teraz, gdy ziemia stała się gorętszą, ku północnemu i południowemu biegunowi. To opowiadanie zajmuje się tylko przyjściem i zniknięciem gwiazdy. Astronomowie na Marsie — gdyż są tam astronomowie, jakkolwiek różniący się znacznie od ludzi — byli przejściami temi zainteresowani ogromnie. Patrzyli na nie, rzecz prosta, z własnego punktu widzenia.

„Biorąc pod uwagę masę i temperaturę pocisku, który przebiegł do słońca przez cały nasz system słoneczny, trzeba się dziwić, jak małe szkody odniosła ziemia, do której tenże zbliżył się tak bardzo. Wszystkie znane nam kontury lądów i przestrzenie wód pozostały niezmienione i jedyną różnicą zdaje się być zmniejszenie się białych pól (przypuszczalnie zamarzłej wody) wokół każdego z biegunów". Co okazuje tylko, jak małemi wydawać się mogą ludzkie katastrofy z odległości kilku miljonów mil.

KONIEC.

J. BRAUN.

„DEMON FILMU"

7

W godzinę później auto Diany pędziła przez cudnie kolorowemi lampami oświetloną ulicę.

„Ulica Lampjonów".

Przed wspaniałym, monumentalnym gmachem kinoteatru „Demon" — tłumy.

Setki i tysiące płyną po marmurowych schodach i tłoczą się u wejścia między słupami majestatycznej kolumnady.

Na ulicy długie szeregi aut i powozów.

Ścisk, gwar, chaos.

Djana i Henryk weszli w bramę, nad którą płonęła setką kolorowych żarówek jaskrawa, świetlna reklama.

Zajęli zbytkownie urządzoną piętrową lożę...

— Prześliczne! — wołała Djana, rzucając z góry spojrzenie na kolosalną halę widowni.

Istotnie wnętrze kina było istną fantasmagorją...

Od sklepienia rzucał brylantowe blaski bezcenny żyrandol płonący tysiącem świeczników...

Półkola lóż pyszniły się w tym blasku, jak królewskie djamenty. W lożach - na czarnem tle fraków - egzotyczne kwiaty toalet. Stylizowane przedziwnie fryzury, przybrania głów, obramowane klejnotami dekoltaże, czar obnażonych ramion...

Wszędzie, gdzie oko się zatrzyma, rzeźby, ornamentacje, dziwaczne draperje fałdziste, posągi.

Żyrandol główny gaśnie.

Hala tonie w powodzi światła różnokolorowych latarni.

— Popatrz pan, panie Henryku. Ile ludzi!?

— Istotnie. Pół Centralopolis...

— Cała śmietanka!! Loża dziennikarzy pełna!...

— Dyrektor zaciera ręce...

— Widzi go pan? Jak wygląda?

— Oho! bohaterowie dnia — jak widzę mają powodzenie u kobiet, choćby to byli tylko dyrektorowie kina. Założyłbym się, że pani chciałaby go poznać...

— No... - to znowu nie. Tak dalece moje zainteresowanie nie sięga. W każdym jednak razie..

— Imponuje pani twórca tak potężnej atrakcji, prawda?

— Widać, że imponuje nie tylko mnie, ale i całej stolicy. Inaczej nie dałoby tu sobie rendez-vous stu potentatów Centralopolis...

— O! potentatów spostrzegam nielada..

— Któż tam?

— Człowiek, który panią niezwykle zainteresował...

— Gdzie, kiedy?

— Na „Corsie powozów", w aleji „Wiosennego flirtu".

— Ten detektyw?

— Tak pani Djano. Jest tutaj...

— Daj pan lornetę. Chcę go widzieć...

Djana wychyliła się z loży i nakierowała lornetkę we wskazanym przez Henryka kierunku...

Henryk nie mylił się.

Poważny, surowy profil Borghe'a rozróżniła łatwo między szeregiem fizjognomji męskich w jego loży... Wielki, barczysty, wyższy od innych stał oparty o poręcz i rozmawiał z dyrektorem kina, panem Blankiem.

Gdy Blank odwróciwszy głowę powiódł zwolna oczyma po panoramie lóż przepełnionych strojną publicznością, oczy jego zatrzymały się na chwilę na twarzyczce Djany...

Oczy te były tak dziwne, tak mocne, tak przerażające, że Djana uczuła dziwny skurcz trwogi i jakby szarpnięcie fizycznego bólu. Na chwilę zatamowało jej to oddech, tak, jakby jakieś szatańskie okrucieństwo dławiło ją, oplótłszy jedwabny sznur naokoło jej szyji.

Ale oczy przeniosły się na inne loże i wrażenie minęło.

— Co to za człowiek? — spytała.

— Kto?

— Blank, ten tajemniczy dyrektor?

— To cudzoziemiec. Podobno przyjechał z Indji...

— O, to z pewnością. Jakiś wschodni tygrys...

— Aż takie zrobił wrażenie na pani...

— Nie wiem... - odpowiedziała machinalnie Djana bawiąc się wachlarzem, idąc za swojemi myślami...

Przed oczyma stanął jej dziwny obraz.

Zdawało się jej, że to dwaj olbrzymi, dwie wrogie potęgi spotkały się w tej obserwowanej przez nią w loży... i przed śmiertelnym pojedynkiem wymieniają uprzejme, towarzyskie frazesy...

— „Walka Demonów" — szepnęła Djana nie wiedząc, czemu jej to na myśl przyszło...

— Co pani mówi?

— Czy mówiłam coś?...

— Aha... i to o demonach...

— Doprawdy, że.. nie wiem..

— Widzę, że myśli pani są daleko odemnie...

— Nie.. ah, przypominam sobie... to tytuł przeczytanej niedawno przezemnie powieści: „Walka Demonów" — ładny tytuł, prawda?

— Przerażający...

— No, no tylko niech mi się pan nie przeraża, bo gotów mi uciec z loży mój jedyny towarzysz-obrońca.

Śmiali się. Djana całkiem bezcelowo i okrutnie poczęła drażnić Henryka wyzywającą kokieterją.

Porucznik był w siódmem niebie.

Nie wiedział, że naprawdę myśl jej była daleko, daleko... zajęta kim innym, bardzo drogim, kochanym.

Światła gasły...

Na dole rżnęła z brawurą fenomenalna orkiestra Somalisów sprowadzona specjalnym okrętem z Kairo.

Gongi, talerze, tamburina...

Na widowni było już zupełnie ciemno...

Muzyka stała się głucha, przejmująca, zgrzytliwa... Było to coś w rodzaju monotonnej, wschodniej kołysanki, okropnej w swym beznadziejnym lamencie, bezbrzeżnie tęsknej i szlochającej dziko...

Równocześnie w ciemnościach zajaśniała blado i mglisto na wysokości ekranu fosforyzująca kula.

Widownia pogrążała się mimowolnie w stan nerwowego podniecenia Muzyka działała jak narkotyk. Czarna dzicz Somalisów wydobywała z istrumentów jakieś straszne, nawołujące, rozpaczliwe dźwięki, ścinające krew w żyłach...

— Nie, doprawdy, tego wprost wytrzymać nie można — szeptała roztrzęsiona nerwowo Djana.

Fosforyzująca kula przyciągała ku sobie nieodpartym musem oczy tłumów. Słyszało się szybkie, niespokojne oddechy. Ludzie popadali w jakąś niezrozumiałą hypnozę na jawie.. Zatracali poczucie rzeczywistości, drżeli w nieznanym sobie lęku..

ROZDZIAŁ VIII.

„Miasto zbrodni".

Uderzył przeciągły, jękliwy gong.

Zasłona rozsunęła się.

Olbrzymi biały ekran - na ekranie napis:

MIASTO ZBRODNI.

Napis rozpłynął się. Powoli otwierała się djafragma. Z pomiędzy gmatwaniny formistycznych cieni, konturów i niezrozumiałych kształtów wyłoniła się z początku mglista, lecz stopniowo coraz bardziej wyraźna twarz EDGARA SMITHA..

Djana drgnęła i krzyknęła cichutko zasłaniając zaraz usta wachlarzem. Serce zabiło jej silnie..

Smith spoglądał z ekranu na falujący tłum ludzki ogromnemi smutnemi oczyma, oczyma „artysty i zbrodniarza", oczyma mądrze-naiwnego i łagodnie-okrutnego łotra — i uśmiechał się jakimś strasznym, cierpko-rafinowanym, potwornym wprost uśmiechem. Był to uśmiech, na widok którego mężczyźni ścierpli i mimowoli sięgnęli do kieszeni po browningi, a kobiety doznały rozkosznie-bolesnych wstrząsów.

Napis: Dziwny Zbrodniarz — Edgar Smith...

Djana drżała, jakby nią targała żółta febra..

Henryk przestraszony okrywał ją szalem

Widziadło znikło...

Nastąpiły zdjęcia innych aktorów, w których publiczność rozpoznawała ze zdumieniem tych, o których zniknięciu tyle się ostatniemi czasy mówiło w stolicy...

Film się rozpoczął..

Snuła się szalona, chora opowieść o jakiemś straszliwem, zatrutem przez obłęd „Mieście Zbrodni", o jakichś ludziach okropnych, jak zgniłe straszaki na wróble, zdegenerowanych, zboczonych, wrogich. Na tle sinych, zapuszczonych nad światem — jak żaluzje lupanaru — nocy ukazywały się mętne upiory ludzkie, cuchnący nędzarze, śmieszni obłąkańcy, ludzie źli, jak najzłośliwsze upiory, ludzie-wampiry pijący krew kobiet.

Było to coś, jakby potworny sen zwyrodniałego kokainisty, taniec złych instyktów, pokrzywiająca się ohydnie zmora.

Obraz za obrazem...

Coraz ciężej na piersiach, coraz beznadziejniej, coraz duszniej..

Od ekranu wieje na widzów przeraźliwa, rozpaczliwa groza, czad zwęglających się dusz, spazm histerycznych nerwów.

Jakieś cuchnące zaułki ledwo rozświetlone błyskami kopcących, potłuczonych latarni.

Włóczą się mętne, mgliste cienie niesamowitych ludzi.

Jacyś plugawi alkoholicy, jacyś schyleni, zaczajeni apasze, jakieś chore ulicznice ciągnące mężczyzn w bezdenne otchłanie rozwierzganej rozpusty.

Krzywe, chwiejne mosty zawieszone nad rzeką niosącą na falach ścierwa samobójców i topielców i of ar zbrodni. Ulice straszne, zapomniane, wąskie jak korytarze szpitalne, domy zapleśniałe, zmurszałe od fundamentów, rudery przeglądające się w brudnych lustrach kanałów.

Środowiska nędzy i zbrodni, dzielnice zarażonych, domy gry, gdzie przy butelkach wybuchają zjadliwe namiętności chciwych, skurczonych nad stołami graczy. Spelunki, gdzie przy dźwiękach chrapliwej muzyki murzynów tańczą — wyrzutki społeczeństwa, złodzieje i pół nagie dziewki. Zatęchli, lubieżni staruszkowię, wyuzdane, rozbestwione podlotki, sadyści, sifilitycy, lichwiarze...

Jakieś miasto — Golgota, gdzie djabeł krzyżuje biedne, udręczone ludzkie serca. miasto — wrzód, nabrzmiałe, zaropiałe jak zakażona rana.

Szloch matek wrzucających do kanału swoje nieprawe dzieci. Skowyt dzieci zduszonych w ciemnych, dusznych norach suteryn. Katowanie wiecznie wystraszonych żon i małych, biednych, anemicznych dziewczynek, rozdeptywanie słabych i koślawych, płaszczenie się przed mocnymi.

Piekło!...

Światło rozbłysło nagle...

Piersi odetchnęły z ulgą Na widowni szmer ludzki.

Djana siedziała w milczeniu, przerażona, skulona, zbolała — ale ten ból odczuwała, jak rodzaj jakiejś kłującej rozkoszy... Demoralizujący powiew tego filmu owiał ją, jak oddech czyhającego na jej ciało zbrodniarza.. Pod czaszką miała chaos kotłujących się obrazów...

Wszyscy odczuli jakiś bezwiedny, ponury czar idący na nich od ekranu. Pojedyncze sceny i wizje wbijały się w mózgi, jak rozpalone ćwieki. Nikt nie byłby zdolny oderwać się od tego widowiska, wstać i opuścić salę... Czekali na ciąg dalszy w bolesnem skupieniu, przejęci i drżący. Jedni, bardziej wrażliwi i nerwowi poddali się temu złemu urokowi więcej, inni odporniejsi, ludzie silniejszej woli – mniej, ale nikt nie mógł wyłamać się z pod trybów tej działającej, jak narkotyk potęgi... Nie zdawali sobie sprawy z wlewającej się w ich centra nerwowe trucizny, nie wiedzieli, że świadomość ich, jaźń cała ulegała rozkładowi, chorobie i zmianie.

Mężczyźni byli jak odurzeni i podnieceni narkotykiem, kobiety czuły, jak pod suknie wczołgują im się konwulsyjne, bezecne dreszcze. Chciały uciekać, ale nieznany nakaz jakiejś stalowej woli przykuwał je do foteli.

Henryk, który wyszedł był na chwilę do foyer, wrócił prowadząc pod rękę mister Borghe'a..

— Miss Djano – czy można. Pan George Borghe chciałby panią poznać.

Wielki Detektyw skłonił się dworsko. Djana podała mu rączkę pokrywając zmieszanie zapraszającym uśmiechem.

— Proszę, proszę bliżej. Niech pan siada, mister Borghe. Serdecznie się cieszę z poznania tak sławnego człowieka...

— Sława — blichtr...

— Nie dla kobiety.

— Być może. Ale ja mierzę wielkość i ważność człowieka miarą jego zasług dla społeczności i niezatartemi śladami pozostawionemi przez niego na drodze ludzkości...

— Jednem słowem — pochwała ludzi czynu...

— Tak, miss Djano.

— Ludzi surowych zasad...

– Bezwątpienia.

— Pochwała ludzi jasnych, rzetelnych, radosnych — dążących śmiało i bezwzględnie do wytkniętego celu...

— A jeżeli ten cel jest zły?

– Zdruzgoczą ich i zadepcą dobrzy

— Z reguły słabsi.

— O nie. Szlachectwo ducha daje siłę.

– Siłę pięści? Bo tylko ta potrafi druzgotać.

— Mądra, skupiona wola druzgocze straszniej i pewniej.

— Więc i pan walczy?

— Dlaczego pani o to pyta?

— Bo pan jest „dobry".

Śmiał się.

— Czy mam to tak wyraźnie napisane na czole?

— Oh, nie. Mój niezawodny instynkt mi to mówi.

– A to — rzekł wskazując palcem ekran – jest „dobre"?

Spoważniała nagle.

— Nigdy mister Borghe. To jest trucizna.

— Pani instynkt jest dobrym detektywem.

— Ja nie umiem śledzić i „wietrzyć"...

— Dobry detektyw nie szuka, nie śledzi. On wie...

— Tak przez skórę?

– Tak przez mózg i wytresowane nerwy.

– Pan musi umieć myśleć i odczuwać na odległość.

— Bo?...

— Bo pan jest tym „dobrym detektywem".

– Druga konkluzja..

– Panie Borghe, pan z nim mówił?

— Z kim? Kto?!

— Blank...

— Ah, ten dyrektor?!

— To jest, mój panie, wcielony djabeł...

— Zna go pani?

— Nie, widziałam go tylko...

– Panie Henryku, a pan co o nim sądzi...

– Pozory mylą.

— Ale, ot tak na pierwszy rzut oka...

Henryk zastanowił się głęboko.

– Powiedziałbym: „Oto człowiek, którego należy rozstrzelać".

Zapadła chwila milczenia.

Kolorowe światła kolejno gasły.

– Powiedziałbym właściwie! Ten „przybytek sztuki" zamknąć, a publiczność rozpędzić na cztery wiatry — szeptał Borghe nachylony do ucha Djany.

— Czy to nie byłoby za ostre?

— Zapewne. I to mię wstrzymuje. Nazajutrz cała stolica zatrzęsła by się oburzeniem na pogwałcenie wolności osobistej obywateli...

— Ten Blank nie jest znów aż tak groźny....

– Zobaczy pani, że z tego nic dobrego nie wyniknie.

Znowu błyszcząca kula w ciemnościach. Tym razem szybciej zgasło. Ekran obnażył się z zasłon, jak zrzucająca suknie kobieta.,.

Kontrast...

Salony nouveaux- riche'ów. Bogactwo, przepych, wspaniałość. Nurzanie się w szampanie i złocie. Miljarderzy we frakach. Ale na tle pałaców, aut i olśniewających tualet snuł się dalej ten jadowity, ponury motyw przewodni. Wąż zbrodni, przewrotnej obłudy i bezwstydu czołgał się i tutaj po mozajkowych posadzkach soirèe-hallów i lśniących parkietach sal tanecznych.

Chciwość, fałsz, lubieżność trzęsąca się, jak spruchniały staruszek. Żadnych zasad, żadnych ideałów. Ludzie — pod płaszczykiem towarzyskiej obłudy rzucają się na siebie i kąsają jak zwierzęta Zwyrodnienie kobiet, drgających w skrętach rozpalonej żądzy złota i rozkoszy idzie o lepsze z niskimi, zbydlęconymi instyktami mężczyzn.

Miłość nie istnieje dla tych ludzi.

Ich Sztuka jest straganiarskim towarem, pustką i frazesem.

Obowiązek społeczny, praca dla jakichkolwiek ideałów jest tu przedmiotem cynicznych drwin i śmiechu.

Sodoma..

A na tle tego wyuzdanego, zepsutego środowiska wyrasta straszliwa postać „Dziwnego zbrodniarza", rafinowanego łotra o inteligencji rozpalonej do białości, ale obarczonego okropnem dziedzictwem wszystkich zboczeń, zbrodni i duchowej gangreny. Widmo wypełzłe z robaczliwych zaułków, jakiś obłąkany apasz łachmaniarz, rozpustnik i wielokrotny zabójca, którego grymas losu rzucił na luksusowe salony i ubrał w czarny frak i białe glacèe rękawiczki.

I oto rzecz dziwna.

Fortuna darzy go uśmiechem. Złoto sypie się, jak deszcz w jego ręce, mężczyźni słuchają go jak mistrza, kobiety tarzają mu się u nóg, skomląc o jedną chwilę rozkoszy.

Smith gra genjalnie. Ludzie zapominają, że to teatr, gra, nierzeczywistość. Dusze wiją się, przypalane na wolnym ogniu tajemniczej grozy.

Smith, Smith.. do czarta. Skąd on się tu wziął na tym przerażającym ekranie?

Djana męczy się, jak na torturach.

Nie wie, co to znaczy?

– Edgarze, Edgarze, gdzie jesteś — płacze jej rozkołatane serce i Djana zaciska wprost zęby, by nie jęknąć.

Borghe patrzy na nią z boku i coś rozważa...

Znów światła.

A w głównej przerwie Wielki Detektyw ujmując rączkę miss Djany odezwał się niespodzianie...

— Zaczynam domyślać się, gdzie jest pan Smith...

Djana prawie krzyknęła:

— Panie, pan mówi!...

— Powoli, spokojnie. Nie wiem jeszcze nic pewnego... Ale proste rozumowanie upoważnia mię do pewnych konkluzji.

— Jakich?

Borghe począł rozumować wolno i dobitnie.

— Edgar Smith zniknął, prawda? Prawdopodobnie został porwany. Z nim razem znika paru najlepszych aktorów. Równocześnie pojawia się dziwna legenda o Demonie Filmu, a dyrektor Blank, indywidum niewiadomo skąd przybyłe, buduje kinoteatr i puszcza nowe, senzacyjne obrazy. W moim salonie odwiedza mię dziwny, obłąkany manjak, który zwie się „Demonem Filmu", marzący o panowaniu ekranu nad światem i żąda opuszczenia miasta przez władze... Czy państwo słuchacie uważnie?

— Słuchamy – odpowiedzieli Djana i Henryk równocześnie.

— Idźmy dalej... Przypomnijmy sobie tekst reklamy: „Miasto Zbrodni", obraz, którego twórcą jest sam „Demon Filmu" tajemnicza legenda naszego stulecia"... – Tu detektyw przysunął bliżej krzesło tłumiąc głos nieledwie do szeptu. — Baczność, moi państwo! bo może tuż koło nas zaczaili się szpiedzy tego człowieka, tem bardziej, że moja osoba jest dla nich specjalnie interesująca. Otóż mamy jeszcze jeden fakt pierwszorzędnej wagi. Na ekranie kinoteatru dyr. Blanka, wyświetlającego obraz „Demona Filmu" ukazuje się Edgar Smith i jego towarzysze niedoli. Stąd logiczny domysł, że to wszystko stoi ze sobą w ścisłym związku.

— Istotnie, rzeczywiście — zapalała się Djana. — To jest tak pewne, jak amen w pacierzu.

— Więc...

— Więc co?

— Więc albo „Demonem Filmu" jest sam pan Blank i w takim razie należałoby go natychmiast zaaresztować, albo też ów „Demon Filmu" jest jego druhem i wspólnikiem...

— Prawda! najoczywistsza prawda!

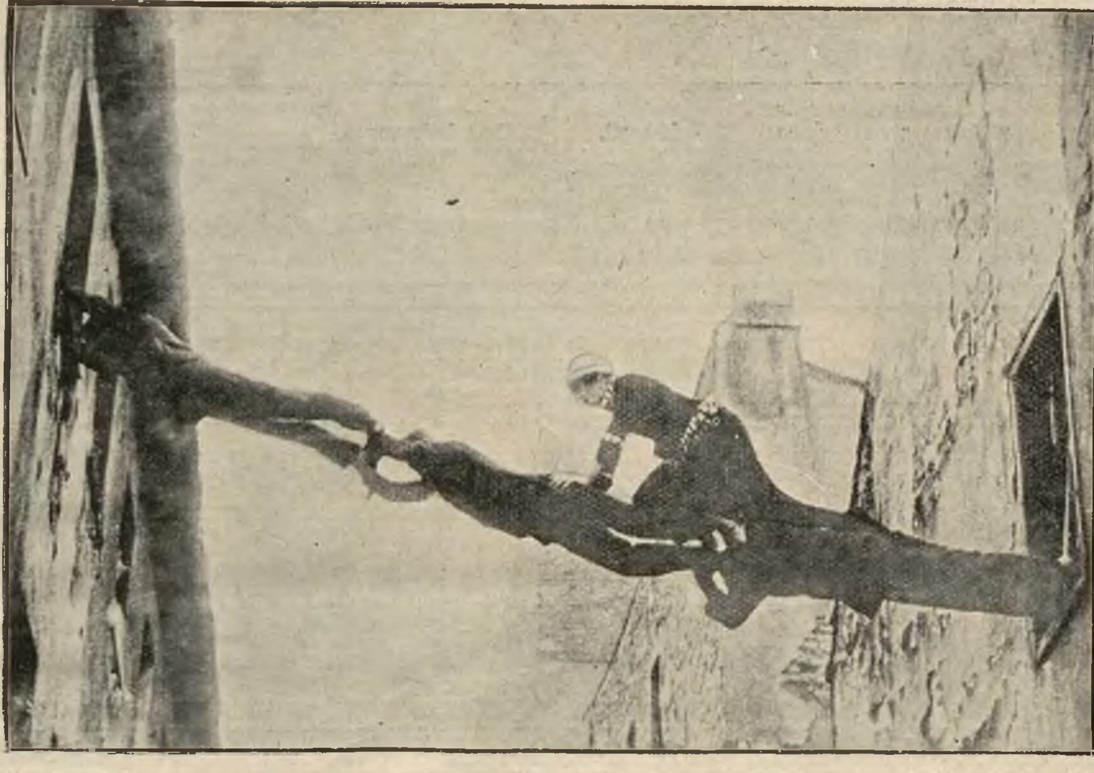
— Jednakże o wiele roztropniej będzie pozwolić się przez czas jakiś rozwijać swobodnie wypadkom, by przez niewczesne wystąpienie nie popsuć sobie szyków. Sprawa musi dojrzeć. Trzeba wyśledzić całą szajkę i wtedy dopiero zamknąć żelazną pułapkę!..

— A Edgar? Gdzie on może być!? W którem miejscu?

— Jest w ich rękach. Gdzie, tego dotąd nie wiem...

— Ja się dowiem!

(Ciąg dalszy nastąpi).





Karkołomne sytuacje artystów filmowych: Zawód aktora filmowego nie jest ani łatwy, ani bezpieczny. Często śmiali artyści padają ofiarą swego zawodu. Na ilustracjach widzimy: 1) Zdjęcie z filmu p. t. „Żywy pomost", które zadziwia nas swą ryzykownością. 2) Artysta filmowy w roli wybieracza gniazd wspina się na niezwykle stromym i kruchym zrębie skalnym. Artyści, grający tak niebezpieczne role mają wprost fantastyczne płace, a prócz tego wytwórnia filmu musi ich niezwykle wysoko asekurować; cóż jednak znaczy „honorarjum wobec kalectwa, lub śmierci?

Dział szachowy

(pod red. Tad. Konczyńskiego jun.)

Turniej w New-Jorku 1924.

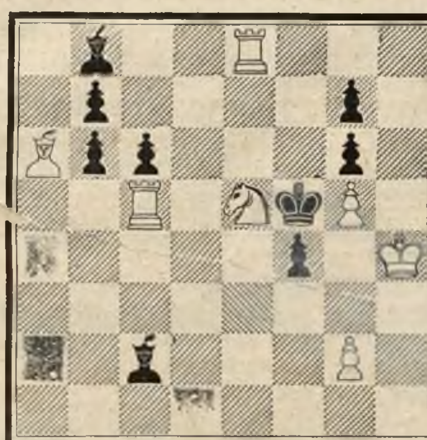
Janowski – Retti

1)	$d_2 - d_4$	$Sg_8 - f_6$
2)	$Sg_1 - f_3$	$g_7 - g_6$
3)	$h_2 - h_3$	$Gf_8 - g_7$
4)	$Gc_1 - f_4$	$b_7 - b_6$
5)	$e_2 - e_3$	$c_7 - c_5$
6)	$c_2 - c_4$	$c \times d_4$
7)	$e \times d_4$	$0 - 0$
8)	$Sb_1 - c_3$	$d_7 - d_5$
9)	$Gf_1 - e_2$	$Gc_8 - b_7$
10)	$b_2 - b_3$	$Sf_6 - e_4$!
11)	$We_1 - c_4$	$Se_4 \times c_3$
12)	$Wc_1 \times c_3$	$d_5 \times c_4$
13)	$b_3 \times c_4$	$Sb_8 - c_6$
14)	$Wc_3 - d_3$	$Sc_6 - a_5$
15)	$c_4 - c_5$	$Dd_8 - d_5$
16)	$0 - 0$	$Dd_5 \times a_2$
17)	$Wf_1 - e_1$	$Da_2 - d_5$
18)	$Ge_2 - f_1$	$Gb_7 - a_6$
19)	$Wd_3 - c_3$	$Ga_6 \times f_1$
20)	$Kg_1 \times f_1$	$Sa_5 - c_6$
21)	$Gf_4 - e_3$	$Wf_8 - d_8$
22)	$Dd_1 - c_1$	$b_6 - b_5$!
23)	$We_1 - d_1$	$b_5 - b_5$
24)	$Wc_3 - c_2$	$a_7 - a_5$
25)	$Sf_3 - g_1$	$a_5 - a_4$
26)	$Sg_1 - e_2$	$b_2 - b_3$
27)	$Wc_2 - d_2$	$a_2 - a_3$
28)	$Se_2 - f_4$	$b_3 - b_2$
29)	$Dc_1 - c_3$	$Dd_5 - f_5$
30)	$Sf_4 - d_3$	$Gg_7 \times d_4$
31)	$Ge_3 \times d_4$	$Wd_8 \times d_4$
32)	$Kf_1 - g_1$	$Wd_4 \times d_3$
33)	$Wd_2 \times d_3$	$Df_5 \times d_3$!!
34)	$Dc_3 \times d_3$	$a_3 - a_2$
35)	$Kg_1 - h_2$	$a_2 - a_1$ D.
36)	$Wd_1 - b_1$	$Wa_8 - b_8$
37)	$h_3 - h_4$	$Da_1 - a_4$
38)	$g_2 - g_3$	$Da_4 - d_4$
39)	$Dd_3 - c_2$	$Dd_4 - f_6$
40)	$Kh_2 - g_2$	$h_7 - h_5$
41)	$Kg_2 - g_1$	$Gc_6 - d_4$
42)	$Dc_2 - d_1$	$Df_6 - f_5$
43)	$Kg_1 - g_2$	$Df_5 \times c_5$
44)	$Dd_1 - d_2$	$Dc_5 - d_5$ +

poddały.

Emil Gross, Warszawa.

1.

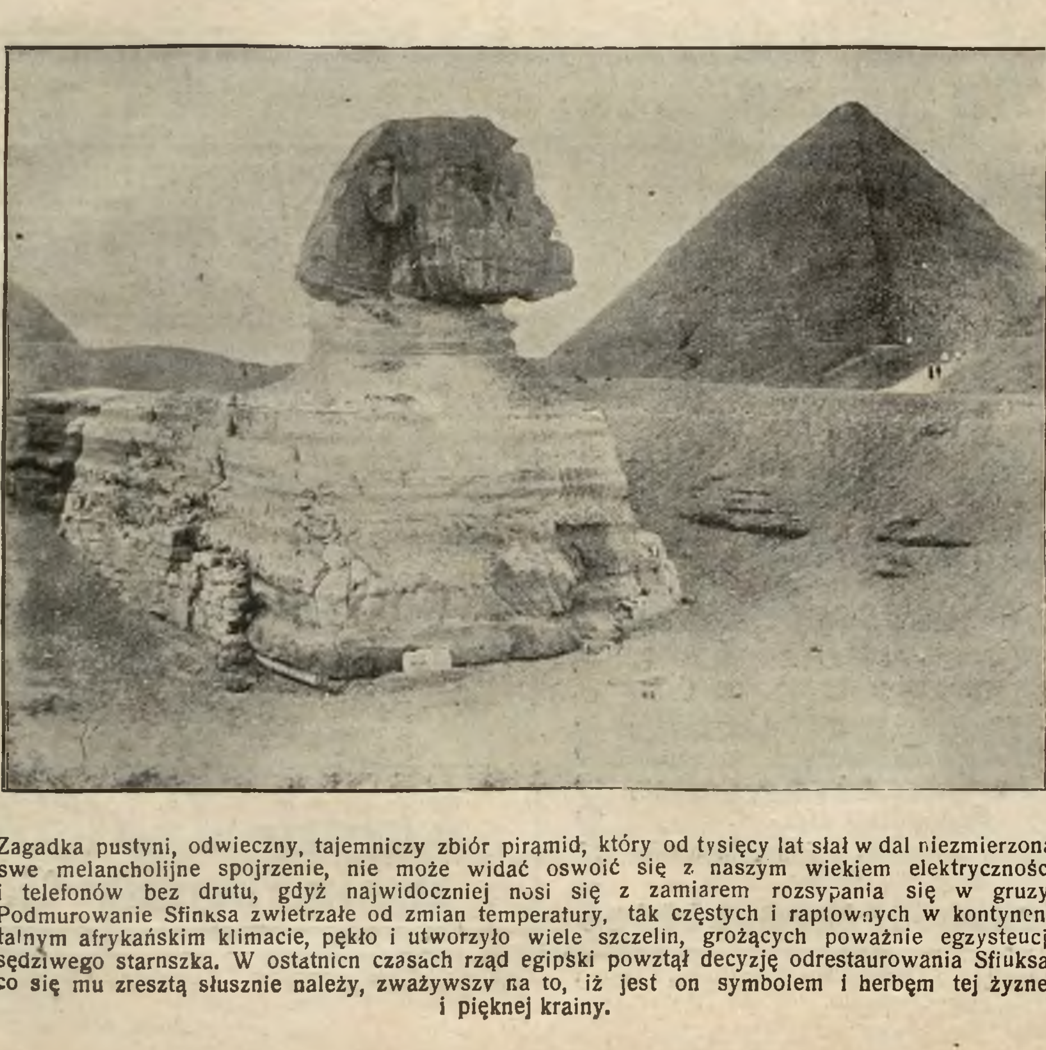


Mat w 3 posunięciach.

Olimpijski turniej szachowy w Paryżu zakończył się. Reprezentacja Polski zajęła 7 miejsce na 18 współzawodników.

Bliższe szczegóły oraz partje podamy w najbliższych numerach.

Sfinks egipski rozsypuje się w gruzy.



Zagadka pustyni, odwieczny, tajemniczy zbiór piramid, który od tysięcy lat ślał w dal niezmierzoną swe melancholijne spojrzenie, nie może widać oswoić się z naszym wiekiem elektryczności i telefonów bez drutu, gdyż najwidoczniej nosi się z zamiarem rozsypania się w gruzy. Podmurowanie Sfinksa zwietrzałe od zmian temperatury, tak częstych i raptownych w kontynentalnym afrykańskim klimacie, pękło i utworzyło wiele szczelin, grożących poważnie egzystencji sędziwego starnszka. W ostatnicn czasach rząd egipski powziął decyzję odrestaurowania Sfinksa, co się mu zresztą słusznie należy, zważywszy na to, iż jest on symbolem i herbem tej żyznej i pięknej krainy.

Jak amerykańska Armja Zbawienia odświeża i czyści ubranka dzieci, pozostawionych bez opieki.



Żeńska „Armja Zbawienia" w Chicago wynalazła nową metodę czyszczenia ubrania. Zdaje się to na pozór dziwnem, że instytucja tak podniosła duchowna zajmuje się tak materjalnemi sprawami. Wyzyskuje się ten wynalazek w sposób bardzo humanitarny, gdyż członkinie tego olbrzymiego związku czyszczą i reperują ubranka zaniedbanych dzieci, które w ten sposób przybierają bardziej ludzki wygląd. Ilustracja nasza przedstawia wynalazczynie przy pracy.

OGŁOSZENIA.

CENY OGŁOSZEŃ:
Przed tekstem (za tytułówką). Cała kolumna 500 Zł pół kolumny 250 Zł. 1/4 kolumny 140 Zł. 1/8 kolumny 75 Zł. — Wiersz milimetrowy jednoszpaltowy 75 groszy.

Część redakcyjna.

Cała kolumna opisowa redakcyjna	300	zł.
1/2 "	150	"
1/4 "	75	"
1/8 "	40	"
wiersz milimetrowy jednoszpaltowy	40	gr.

Za 1 cm. kliszy 15 groszy.

Część inseratowa.

Cała kolumna	200	zł.
1/2 "	100	"
1/4 "	55	"
1/8 "	30	"
wiersz milimetrowy jednoszpaltowy	15	gr.

Właściciel i wydawca: Czesław Lipiński. Odpowiedzialny redaktor Dr. Lipiński. Drukarnia i kliszarnia „Nowości Illustrowane" pod zarządem L. Gronusia (firma Friedlein